



Lindsay Armstrong



Nad zatoką w Sydney

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Panno Montrose - powiedział Cameron Hillier. - Gdzie, do diabła, podziewa się moja przyjaciółka?

Liz Montrose spojrzała pytająco.

- Nie mam pojęcia, panie Hillier. Skąd miałabym wiedzieć?

- Ponieważ tym się pani zajmuje, jest pani w końcu osobistą asystentką, nieprawdaż?

Liz zapatrzyła się w Cama Hilliera, jak go nazywano. Nie знаła szefa zbyt dobrze. Pracowała na tym stanowisku półtora tygodnia i tylko dlatego że agencja, dla której pracowała, wysłała ją, by wypełnić lukę spowodowaną chorobą stałego asystenta. Przez ten krótki czas zdążyła odkryć, że jej pracodawca potrafi być trudny, wymagający i arogancki.

Cóż miała jednak zrobić w sprawie oczywistej nieobecności jego towarzyszk?

Rozejrzała się z lekką paniką. Znajdowali się w sekretariacie - królestwie Molly Swanson - która, niech jej Bóg błogosławi, gestykulując za plecami mężczyzny, wyciągała do niej słuchawkę.

- Uhm, zaraz sprawdzę - zapewniła szefa.

Wzruszywszy ramionami, wszedł z powrotem do gabinetu.

- Jak ona się nazywa? - wyszeptała do sekretarki, biorąc słuchawkę.

- Portia Pengelly.

Skrzywiła się, po czym zmarszczyła brwi.

- Ale chyba nie ta modelka i gwiazda telewizyjna?

Molly przytaknęła. W tej samej chwili ktoś odebrał.

- Panna Pengelly? - Otrzymawszy potwierdzenie, kontynuowała. - Panno Pengelly, dzwonię w imieniu pana Hilliera, pana Camerona Hilliera...

Dwie minuty później skończyła rozmowę z miną wyrażającą coś pomiędzy rozbaawieniem a poczuciem porażki.

- I co? - dopytywała się koleżanka.

- Wolalaby towarzystwo zdradliwego węża! Jak mam mu coś takiego powiedzieć?

Przy Camie Hillierze nie należało poruszać lekkich tematów czy wdawać się w czcze pogawędki, co dano jej do zrozumienia, zanim jeszcze ujrzała go na oczy. Agencja pracy tymczasowej ostrzegła, że to niezwykle wpływowy biznesmen, raczej trudny we współpracy, więc jeśli Liz ma jakieś zastrzeżenia, nie powinna nawet myśleć o tym stanowisku. Ostrzegli ją również, że do zadań osobistej asystentki może należeć tuszowanie różnych spraw.

Dawała sobie wcześniej radę z różnymi ważnymi biznesmenami; w zasadzie miała do tego talent, natomiast nigdy dotąd nie musiała żadnemu zakomunikować, że jego partnerka woli obcować z wężem...

Obecny pracodawca różnił się od pozostałych jeszcze czymś. Był młody - najwyżej po trzydziestce - o wyjątkowo wysportowanej sylwetce oraz - no cóż, usłyszała te słowa z ust jego księgowej: „W nieokreślony sposób seksowny jak diabli”.

Dlaczego w nieokreślony? - zastanawiała się wówczas. Jest wysoki, szczupły i smukły, z szerokimi ramionami. Gęste ciemne włosy okalają twarz nieszczególnie przystojną, to prawda, ale z przenikliwymi oczami w kolorze głębokiego ciemnego błękitu. Samym taksującym spojrzeniem mógł wywołać dreszcz biegnący po kręgosłupie.

Właściwie, ku jej irytacji, musiała przyznać, że uległa potężnemu męskiemu urokowi Cama Hilliera. Nie potrafiła też wymazać z pamięci krótkiego epizodu, kiedy uświadomiła sobie ten fakt.

Pewnego gorącego dnia szli obok siebie zatłoczonym chodnikiem w Sydney. Cel podróży znajdował się zaledwie dwie przecznice od biura. Obok huczał ruch uliczny, wysokie budynki CBD górowały nad jezdnią jak ściany kanionu, a chodnikiem przepływały tłumy ludzi. Nagle obcas utknął jej między płytami nierównej nawierzchni. Straciła równowagę i byłaby upadła, gdyby jej nie złapał, przytrzymując za ramiona, dopóki nie odzyskała równowagi.

- Dzięk-dziękuję - wyjąkała.

- Wszystko dobrze? - Popatrzył na nią, unosząc brew.

- Oczywiście - skłamała, bo z pewnością nie czuła się dobrze.

Nie wiadomo dlaczego, dotyk jego rąk głęboko ją poruszył, głęboko poruszyła ją jego bliskość, wysoki wzrost, szerokie ramiona, gęste ciemne włosy.

Przede wszystkim jednak ogłuszyły ją narastające doznania w jej ciele. Zachowała na szczęście przytomność umysłu - szybko spuściła wzrok, uniemożliwiając odczytanie swoich reakcji. Rumieniec, czy jakkolwiek inną oznakę oszołomienia, uznałaby za upokarzającą. Opuścił ręce i poszli dalej.

Od tego dnia szczególnie uważała, żeby w obecności szefa nie potknąć się i nie zrobić niczego, co mogłoby znowu tak ją poruszyć. Jeśli coś zauważył, nie dał po sobie poznać. To z pewnością pomagało. Nie pomagał za to wewnętrzny głos dający do zrozumienia, że przez tego właśnie mężczyznę nie chce być traktowana jak robot.

Doznała szoku, gdy myśl ta ujrzała światło dzienne. Łudziła się, że znienawidziłaby go za postępowanie niezgodnie z układem pracodawca - pracownik. Dlaczego się w ogóle nad tym zastanawia?!

W końcu określiła to zdarzenie mianem „chwilowego zaćmienia umysłu”, choć nie potrafiła zmusić się do całkowitego wyrzucenia go z pamięci.

Ku jej zdziwieniu, biorąc pod uwagę sprzeczne uczucia, których padła ofiarą, oraz odkrywczy fakt, że wkurzający szef unosił w uśmiechu jeden kącik ust, pracowała dalej z typową dla siebie intuicją.

Teraz się nie uśmiechał. Uniósł wzrok znad przeglądanych dokumentów i popatrzył na nią ironicznie.

- Panna Pengelly... - zaczęła nerwowo. „Panna Pengelly żałuje”? Z ręką na sercu nie mogła tego powiedzieć. „Panna Pengelly przesyła pozdrowienia”? Portia z pewnością nie to miała na myśli! - Hm... ona nie przyjdzie. Chodzi o pannę Pengelly - dodała na wypadek, gdyby nie zrozumiał.

Skrzywił się i zaklął pod nosem.

- Tak po prostu? - rzucił w kierunku Liz.

- E... mniej więcej. - Poczwała ciepło na policzkach.

Przyglądał jej się badawczo, po czym na ustach zagościł mu ten krzywy uśmieszek i prawie natychmiast zniknął, zanim na dobre się rozpoczął.

- Rozumiem - powiedział z powagą. - Przykro mi, jeśli poczuła się pani zażenowana, ale rzecz w tym, że... musi ją pani zastąpić.

- Nie ma mowy! - wypaliła, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Dlaczego nie? To tylko przyjęcie.

- No właśnie - zdenerwowała się. - Dlaczego nie może pan iść sam?

- Nie lubię chodzić sam na przyjęcia. Zwykle oblegają mnie kobiety. Portia - oświadczył z rozdrażnieniem - świetnie odpierała niechciane zaloty. Na jej widok panie... - wzruszył ramionami - dochodziły do wniosku, że rywalizacja jest zbyt duża.

Liz zamrugła.

- Była jedynie...?

Przerwała, wykonując ruch ręką, jakby chciała powiedzieć „wycofuję to”.

- Niech pan posłucha, panie Hillier - oznajmiła zamiast tego. - Gdyby na moim miejscu znajdował się pański osobisty asystent, ten, którego zastępuję, jego nie mógłby pan zabrać, żeby odstraszał... potencjalne kandydatki.

- Zgadza się - potwierdził - Ale Roger potrafiłby mi kogoś znaleźć.

Zacisnęła usta. Panią do towarzystwa, pomyślała z niesmakiem.

- No cóż, tego też nie mogę zrobić - odparła cierpko. Uderzyło ją, że zaczyna się bronić. - I z pewnością nie posiadam... kompetencji Portii Pengelly do odpierania desantów.

Wstał i obszedł biurko.

- No, nie wiem. - Przysiadł na rogu i zaczął się jej przyglądać, zwracając uwagę na spięte z tyłu włosy i rogowe oprawki. - Masz bardzo jasną karnację, prawda? - mruknął.

- A co moja karnacja ma z tym wspólnego? - zapytała zgryźliwie. Przyglądając się swojej eleganckiej, ale z konieczności prostej kremowej sukience z lnu, dodała: - W każdym razie nie jestem ubrana na przyjęcie!

- Może być. Właściwie jasnoniebieskie oczy, blond włosy i poważny strój przydadzą ci nieco aury Królowej Śniegu, na swój sposób równie skutecznej jak sama Portia.

Poczuła, jak dosłownie dusi się z gniewu. Musiała wziąć kilka głębokich oddechów. Pragnienie, by go spoliczkować i wyjść, niemal natychmiast zostało powściągnięte przez myśl, że w ciągu miesiąca, który zgodziła się przepracować u jego boku, dość dużo zarobi. Poza tym opuszczenie biura - nie wspominając już o policzku - skutkowałoby umieszczeniem znaku zapytania, i to nawet znacznych rozmiarów, w agencyjnych dokumentach ...

Czekał, obserwując ją uważnie.

Wymamrotała coś pod nosem, a potem głośno, acz chłodno oświadczyła:

- Pójdę. Jednak wyłącznie na zasadzie służbowej... I potrzebuję kilku minut na odświeżenie się.

To, co ujrzała wówczas w jego oczach - szelmowski błysk rozbawienia - nie poprawiło jej nastroju, ale Cam już wstał, mówiąc:

- Dziękuję, panno Montrose. Doceniam ten gest. Spotkamy się w holu za piętnaście minut.

Umyła twarz i ręce w łazience dla pracowników. Wciąż kipiał w niej gniew i nie tylko. Poważnie znieważona, miała olbrzymią ochotę zrewanżować się tym samym!

Zapatrzyła się w swoje odbicie. Celowo do pracy wybierała eleganckie, lecz proste stroje. Zwykle ubierała się inaczej, dzięki temu, że jej matka znakomicie szyła. Jej dzieło, krótka kremowa sukienka, w którą była dziś ubrana, miała do kompletu jedwabny żakiet. W dodatku podczas przerwy na lunch odebrała go z pralni. Teraz wisiał na drzwiach łazienki.

Wyjęła go z foliowego pokrowca i założyła. Prezentował się zachwycająco i nietuzinkowo.

Na widok zmiany, jaką ujrzała w lustrze, uśmiechnęła się lekko. Bardziej przypominała teraz bywalczynię przyjęć niż dziewczynę z biura. Cóż, prawie. Wciąż się wahała, ściągnęła żakiet i starannie go odwiesiła.

Po chwili powzięła decyzję. Sięgnęła do spinek i wyciągnęła je z włosów. Opadły jasną, równo ściętą kurtyną nieco powyżej ramion. Odnalazła w torebce szkła kontaktowe. Następnie wyjęła kosmetyczkę i zbadła jej zawartość - w ciągu dnia nakładała lekki makijaż, więc nie miała zbyt wiele możliwości, ale znalazła cień, tusz i błyszczak.

Spryskała się perfumami, uczesała włosy, po czym potrząsnęła głową, żeby nadać im lekko rozwichrzony charakter. Ponownie nałożyła żakiet, zapinając go na ukryte haftki.

Ostatni raz przyjrzała się sobie.

Czy przypomina Królową Śniegu? Gdyby tylko wiedziała...

Kiedy weszła do westybulu, Cam Hillier stał do niej tyłem, rozmawiając z Molly. Zauważył zdziwiony wyraz twarzy sekretarki zerkającej gdzieś obok i odwrócił się na pięcie.

Przez chwilę nie rozpoznał Liz. Powtórnie zmierzył ją wzrokiem i cicho zagwizdał. Taka reakcja niezmiernie by ją usatysfakcjonowała, gdyby nie jedna rzecz. Dokładnie zlustrował jej sylwetkę, zatrzymując się dłużej na nogach. Po chwili znowu popatrzył jej w oczy, w sposób, w jaki mężczyzna daje kobiecie do zrozumienia, że właśnie myśli, jak by to było pójść z nią do łóżka.

Ku jej irytacji to niedwuznaczne spojrzenie ponownie wznieciło znajome doznania: przyspieszony oddech, pobudzenie zmysłów, świadomość piękna jego wysokiej sylwetki. Jedynie dzięki resztkom urazy powstrzymała rumieniec. Zamiast tego dumnie uniosła podbródek.

- Rozumiem - powiedział poważnie. Wsadził ręce do kieszeni spodni zanim dorzucił równie poważnie, choć prawdopodobnie całkowicie nieszczerze. - Przepraszam, jeśli panią obraziłem. Nie wiedziałem, że może pani tak wyglądać - innymi słowy, zachwycająco. Nie miałem też pojęcia, że potrafi pani ni stąd, ni zowąd wyczarować ubranie haute couture. - Przez chwilę podziwiał zakiet - No dobrze, chodźmy.

Do miejsca, gdzie odbywało się przyjęcie, dotarli w rekordowym czasie, częściowo dzięki mocy i zwrotności samochodu, grafitowego astona martina, a częściowo dzięki umiejętnościom Cama Hilliera oraz znajomości bocznych uliczek, co pozwoliło na uniknięcie tłoku w godzinach szczytu.

Liz powstrzymała się od kurczowego ściskania podłokietnika ani nie okazała w jakikolwiek sposób zdenerwowania, lecz gdy dojechali i wyłączył silnik, zauważyła:

- Sądzę, że minął się pan z powołaniem. Powinien pan jeździć w Formule 1.
- Jeździłem. W zmarnowanej młodości - odparł swobodnie. - Znudziło mi się.
- Cóż, nie nazwałabym tej jazdy nudną. Tu nie wolno parkować, prawda?

Samochód stał na podjeździe tuż obok rezydencji ukrytej za wysokim murem, oświetlonej jak choinka - z pewnością miejscu przyjęcia.

- To nie problem - mruknął.
- A co, jeśli właściciel zechce wjechać lub wyjechać? - zapytała.

- Właściciela nie ma.

Znowu przyjrzała się okolicy. Byli w Bellevue Hill, jednym z najbardziej luksusowych przedmieść Sydney. Za chwilę weźmie udział w szykownym spotkaniu towarzyskim. Oba fakty nie wywarły na niej najmniejszego wrażenia.

- No, dobrze. - Sięgnęła do klamki. - Miejmy to już za sobą.

- Jedną chwilę - powiedział oschle. - Przyznałem, że mogłem panią obrazić, i przeprosiłem. A pani, za sprawą zachwycającej metamorfozy, z pewnością śmiała się ostatnia. Czy ma pani zatem jakiś powód, żeby marszczyć czoło z taką dezaprobatą? Jak niania lub guwernantka?

Zaniemówiła, zaczerwieniwszy się lekko.

- Co dokładnie się pani nie podoba?

- Jeśli naprawdę chce pan wiedzieć...

- Chcę - zapewnił.

Otworzyła usta, ale zaraz przygryzła wargę.

- Nieważne. Nie do mnie należy oceniać. Już! - Otworzyła szeroko oczy, wyprostowała plecy, ściągając łopatki, i ostrożnie założyła włosy za uszy. Wykonała kilka ćwiczeń na mięśnie twarzy. W końcu zwróciła się w jego stronę. - I jak?

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się nią bez wyrazu i stała się rzecz dziwna. W niewielkiej przestrzeni samochodu połączyła ich bynajmniej nie dezaprobata, a świadomość bliskości drugiej osoby. Liz ponownie dostrzegła szerokie ramiona rysujące się pod grafitową marynarką. Zauważyła niewielkie linie wokół ust, poważne spojrzenie ciemnoniebieskich oczu oraz sposób, w jaki się w nią wpatrywał... Rozbierał ją wzrokiem, co przyprawiało ją o gęsią skórę. Ponieważ siedzieli tak blisko, zaczęła sobie wyobrażać obejmujące ją ramiona, miękkość włosów pod palcami, dotyk ust.

Odwróciła się gwałtownie. Bez słowa otworzył drzwi. Zrobiła to samo, wysiadając bez jego pomocy.

Chociaż zdawała sobie sprawę, że weźmie udział w eleganckim przyjęciu, po przekroczeniu progu zaparło jej dech w piersi. Szeroki korytarz wyłożony kamiennymi płytami prowadził na najwyższy z trzech tarasów, ze wspaniałym widokiem na zatokę w Sydney skąpaną w resztkach dziennego światła.

Natychmiast obok nich pojawił się kelner ubrany w smoking i białe rękawiczki, proponując szampana. Miała odmówić, ale Cam po prostu włożył jej kieliszek w dłoń. Gdy tylko to zrobił, dostrzegli panią domu - wysoką, atrakcyjną kobietę w długiej różowej sukni z szerokim pasem, kapiącą złotem i brylantami. W srebrzystych włosach połyskiwały różowe pasemka.

- Mój drogi Cam - wpadła w zachwyt, podchodząc do nich. - Myślałam, że już nie przyjdiesz! - Zwróciła się w stronę Liz i brwi podjechały jej w górę. - A to kto?

- Narelle, to jest Liz Montrose. Liz, przedstawiam ci Narelle Hastings.

- Bardzo mi miło - wymamrotała Liz, wyciągając rękę.

- Mnie również, moja droga, mnie również - odparła szybko Narelle, z wprawą mierząc ją wzrokiem. Zauważyła nie tylko jasną cerę, ale i stylowy ubiór. - Zatem zajęłaś miejsce Portii?

- W żadnym wypadku - sprostował Cam. - Portia zmieniła zdanie na mój temat, a ponieważ Liz zastępuje Rogera, który przebywa na chorobowym, wolałam zmusić ją do pójścia ze mną niż przyjść bez partnerki. I tyle.

- Kochanie - powiedziała do niego czule - mów, co chcesz, nie oczekuj jednak, bym uwierzyła ci na słowo. A ty, dziewczyno, jesteś zbyt śliczna jak na sekretarkę. Twój szef też jest niezły na swój własny sposób. I o to właśnie chodzi. A przy okazji - zwróciła się ponownie do Cama - jak tam Archie?

- Kłębek nerwów. Szczeniaki Wenonah przyjdą na świat lada dzień.

Narelle zachichotała.

- Pozdrów go ode mnie. O! Wybaczcie! Jeszcze kilku spóźnialskich. I nie zapomnij, Liz - rzuciła na odchodnym - życie nie składa się wyłącznie z pracy, hulaj więc z Camem, póki się da!

- Narelle bywa trochę ekscentryczna - stwierdził Cam, gdy się oddaliła.

- Tak czy inaczej, wiedziałam, że to zły pomysł - oświadczyła ponuro Liz.

Popatrzył na nią badawczo.

- Moim zdaniem nie ma się czym przejmować.

- Nie twoja reputacja może ucierpieć - odcięła się w końcu. - Swoją prawdopodobnie... - przerwała.

- Zrzućmy lata temu? - zasugerował.

Skrzywiła się. Odwróciła wzrok, wyobrażając sobie poniewczasie czarne znaki zapytania w swoich dokumentach. „Nie doszło właściwie do wymiany ciosów z tymczasowym pracodawcą, ale panna Montrose znieważyla go, wątpiąc w jego reputację...”

- Co za niesamowite miejsce - odezwała się, przybierając lekki ton, i upiła szampana. - Czy to przyjęcie na cele dobroczynne?

Uniósł brwi ze zdziwienia na tę zmianę tematu, lecz po chwili na jego twarzy pojawiło się rozbawienie.

- Nie sądzę. Narelle nigdy nie potrzebuje wymówki, by urządzić przyjęcie. Jest czołową przedstawicielką miejscowej śmietanki towarzyskiej.

- Doprawdy... interesujące - zauważyła uprzejmie.

- Nie podoba ci się pomysł wydawania przyjęcia bez powodu?

- Tego nie powiedziałam. Jeśli cię stać... - umilkła i wzruszyła ramionami.

- Choć tego nie powiedziałaś, zapewne pomyślałaś. Swoją drogą, tak się składa, że Narelle to moja cioteczna babka.

Liz zrobiła ponurą minę. Upiła następny łyk szampana.

- Dziękuję.

Spojrzał na nią pytająco.

- Za wyjaśnienia. Ja... czasami mówię bez zastanowienia - przyznała. - Natomiast nigdy nie obraziłabym czyjejs ciotecznej babki.

Tym razem zamiast unieść kącik ust, wybuchnął śmiechem.

- Co w tym zabawnego?

- Nie jestem pewien. - Opanował się, lecz wciąż wyglądał na rozbawionego. - Potwierdzenie moich podejrzeń? Że potrafisz mówić bez ogródek. Albo fakt, że z jakiegoś powodu uważasz cioteczne babki za święte?

- Przyznaję, moje słowa zabrzmiały nieco dziwacznie, ale wiesz, o co mi chodzi. Ogólnie rzecz biorąc, nie lubię rozmawiać na tematy prywatne.

Przyjął to sceptycznie, postanowił jednak nie drażnić tematu.

- Narelle umie zadbać o siebie lepiej niż większość osób. Jakim cudem z taką łatwością radzisz sobie na stanowisku wymagającym wielkiej dyplomacji, mając problem z przesadną szczerością w wyrażaniu opinii?

- Tak, cóż, czasami sama się sobie dziwię - wyznała. - Chociaż mówiono mi, że stanowi to miłą odmianę. Oczywiście, staram się hamować.

- Aczkolwiek nie przy mnie? - zasugerował.

Wpatrzyła się w kieliszek. Po chwili upiła następny łyk.

- Szczerze mówiąc, panie Hillier, nigdy przedtem nie poproszono mnie o przekazanie wiadomości mówiącej, że... hm... przyjaciółka pracodawcy wolałaby obcować ze zdradliwym wężem niż znosić jego towarzystwo na przyjęciu.

Cicho zagwizdał.

- Musiało ją coś rozzłościć!

- Tak, ty. Potem stwierdziłeś, że nie możesz iść na przyjęcie sam, bo rzucą się na ciebie kobiety. Z tym miałam niejaką trudność.

- Chodzi o pieniądze - wtrącił.

- Czyżby? Powtarzając za twoją ciotką, nie oczekuj, bym uwierzyła ci na słowo - zapewniła z otwartą ironią, po czym prawie podskoczyła, gdy błysnął flesz. - Dodajmy do tego, że z dużą dozą prawdopodobieństwa od teraz będziemy przedstawiani jako para. Do tego wszystkiego dorzucmy śmiertelnie niebezpieczną jazdę bocznymi uliczkami Sydney. Dziwi cię, że nie potrafię utrzymać języka za zębami?

- Raczej nie - przyznał. - Chciałabyś niezwłocznie zrezygnować z pracy?

- Prawdę mówiąc, nie. Potrzebuję tych pieniędzy. Byłabym zobowiązana, gdybyśmy po prostu wrócili do stałych godzin pracy i codziennego obłędu, który wiąże się z moim stanowiskiem.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym.

- Ile masz lat i jak dostałaś tę pracę? Mam na myśli pracę w agencji.

- Dwadzieścia cztery. Ukończyłam zarządzanie jako najlepsza w grupie, choć zapewne trudno w to uwierzyć.

Zmrużył oczy.

- Wierzę. Zdałem sobie sprawę, że masz głowę na karku, na samym początku naszych relacji. Relacji służbowych - dodał, bo wyglądała na gotową do podjęcia polemiki.

- Widziałem, jak podchodzisz do problemów.

- Och? - Zaskoczył ją. - Jak to?

- Pamiętasz ofertę Fortune'a, tę niekompletną, dotyczącą wprowadzenia do obrotu owoców morza? Pierwszego dnia praktycznie rzuciłem ci ją na kolana i kazałem coś z tym zrobić.

Kiwnęła głową.

- Pamiętam - potwierdziła beznamiętnie.

Uśmiechnął się.

- Rzuciłem cię na głęboką wodę, żądając czegoś, co tak naprawdę nie należało do twoich obowiązków. Zauważyłem jednak, że ją przeglądasz, a potem usłyszałem, jak dzwonisz do Fortune'a i proponujesz poprawki. Zaimponowałaś mi.

Ponownie upiła szampana.

- Cóż, dziękuję.

- Molly poinformowała mnie, że uważasz się za specja od komputerów.

- Nie bardzo, ale lubię komputery - odparła.

- Nasuwa się pytanie, dlaczego pracujesz dorywczo, zamiast wyrabiać sobie pozycję zawodową - powiedział z zastanowieniem.

Odwróciła głowę. Kilka par zaczęło tańczyć i nagle poczuła trawiące ją pragnienie, żeby móc robić to, co chce: mieć partnera do tańca, do rozmów, do dzielenia się różnymi sprawami. Kogoś, dzięki komu jej brzemię byłoby lżejsze i użyłaby trochę życia. Tak dawno nie tańczyła, tak dawno nie pozwoliła włosom zaznać swobody, zapomniała, jak to jest.

Niczym przyciągnięty magnesem jej wzrok znów powędrował w kierunku towarzysza, napotykać pytające spojrzenie. Przez jedną niezwykłą chwilę sądziła, że poprosi ją do tańca. Wyobraziła sobie, jak wpada w jego ramiona i pozwala ciału płynąć w rytm muzyki.

Czy zgadł, w którą stronę podążają jej myśli? A jeśli tak, to w jaki sposób? Czy teraz, kiedy zobaczył w niej kobietę, a nie robota, powstała pomiędzy nimi więź, nie tylko na płaszczyźnie fizycznej, ale i psychicznej?

Przebiegł ją dreszcz niepokoju, więc odwróciła głowę. Nie chciała związku z mężczyzną, prawda? Nie chciała znów przez to przechodzić. Chyba zwariowała, pozwalając Camowi kpiną sprowokować się do pokazania, że nie można jej traktować jak biurowy mebel.

Próbując zerwać tę psychiczną więź, uczepiła się pierwszej rzeczy, jaka przyszła jej na myśl.

- Kim jest Archie?
- To mój siostrzeniec.
- Miłośnik zwierząt?
- Jak najbardziej.

Poczekwała chwilę, jednak stało się jasne, że Cam nie ma już nic więcej do powiedzenia na temat swojego siostrzeńca. Wyprostowała się więc i rozejrzała po tłumie gości.

Nagle coś przykuło jej uwagę i ze zdumieniem wpatrzyła się w wysoką postać stojącą po drugiej stronie tarasu. Postać mężczyzny, który kiedyś był dla niej całym światem. Odwróciła się gwałtownie i wręczyła szefowi swój kieliszek.

- Wybacz - powiedziała pospiesznie - ale muszę... muszę iść do łazienki. - Odwróciła się na pięcie i zniknęła w głębi domu.

Nigdy nie potrafiła wyjaśnić, w jaki sposób udało jej się zgubić w rezydencji Narelle Hastings. Znalazła łazienkę i spędziła w niej bezużyteczne dziesięć minut, próbując się uspokoić. Była tak wytrącona z równowagi, że nie mogła zebrać myśli. Wyszła z łazienki zdecydowana dyskretnie opuścić dom, przyjęcie, Cama Hilliera, towarzystwo. Niemal wpadła na Narelle zegnającą kilku gości. Odwróciła się szybko, przeszła przez kilka pomieszczeń, aż znalazła się w kuchni, na szczęście pustej, choć prawdopodobnie nie na długo. Nieważne, wymknie się tylnymi drzwiami!

Tylne drzwi stanowiły obiecującą perspektywę - podwórze i wysoki mur z bramą. Świetnie! Tylko że, gdy do niej dotarła, okazała się zamknięta.

Nagle usłyszała głosy dochodzące z rezydencji. Zabrakło jej odwagi, by wrócić do kuchni. Przeanalizowała możliwości. Próba przedostania się przez mur wychodzący na ulicę nie miała sensu - na pewno by na kogoś wpadła. Sąsiedni dom natomiast, również ukryty za murem, to posiadłość, gdzie Cam zaparkował samochód, ta sama, której właściciel, według niego, wyjechał. Z pewnością ten mur stanowi lepszą opcję.

Zesztywniała na dźwięk otwieranych drzwi i ukryła się w cieniu. Pojawił się pomocnik kucharza, wyrzucił śmieci do zielonego pojemnika na kółkach i z łoskotem zamknął pokrywę. Nie zauważył jej, wrócił do środka, zatraskując drzwi. Użycie kosza na śmieci podsunęło jej pomysł.

Na moment zamknęła oczy, a po chwili popędziła do pojemnika, przytaszczyła go pod mur, zdjęła buty i przerzuciła na drugą stronę. Zarzuciła torebkę na ramię i podciągając sukienkę, weszła na pojemnik. Przejście od strony Narelle okazało się łatwe. Zejście po drugiej stronie nie było już takie proste. Musiała przytrzymać się krawędzi muru i odgadnąć, ile jej brakuje do ziemi.

Zaledwie jakieś trzydzieści centymetrów, lecz lądując straciła równowagę i upadła. Właśnie wstawiała, oglądając podarte rajstopy i otarcie na kolanie, kiedy, przy dźwięku samochodowego silnika, brama podjazdu zaczęła się otwierać.

Wyprostowała się i utkwiała spojrzenie w parze reflektorów, czekając na nieuchronne. Długi, niski lśniący samochód przejechał ostrożnie przez bramę i stanął obok niej.

Szyba od strony kierowcy opuściła się bezdźwięcznie. Liz pochyliła głowę, a wtedy jej wzrok zderzył się ze wzrokiem mężczyzny za kierownicą. Wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce...

- Och, rozumiem - powiedziała gorzko. - Ty jesteś właścicielem tej posiadłości. Dlatego wiedziałeś, że można bezpiecznie parkować na podjeździe!

- Szybko do tego doszłaś - zgodził się Cam Hillier z wnętrza grafitowego astona martina. - Ale co ty wyrabiasz, stanowi dla mnie zagadkę.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Kim on jest?

Pytanie zawisło w powietrzu, tymczasem Liz rozejrzała się dookoła.

Siedziała na wygodnej sofie pokrytej pluszem w kolorze cynamonu.

Dom Cama Hilliera, choć nie tak imponujący jak rezydencja ciotecznej babki, był stylowy i z pewnością bardzo drogi. Woląла nie myśleć, ile milionów kosztował.

Właściciel siedział w fotelu naprzeciw niej. Zrzucił marynarkę, pozbył się krawata i rozpiął górne guziki koszuli. Nalał im również po kieliszku brandy.

Do tej pory wyjaśniła jedynie, że na przyjęciu zobaczyła kogoś, kogo nie miała ochoty spotkać, więc próbowała serwować się szybką ucieczką, która poszła zupełnie nie tak.

Upiła łyk brandy i gdy jej ciepło spłynęło do żołądka, poczuła się nieco lepiej.

Przypatrując się szefowi, musiała przyznać, że robił równie wielkie wrażenie rozparty w fotelu, w samej koszuli, ze zmierzwionymi włosami, jak i na przyjęciu. Na domiar złego te fascynujące oczy w kolorze intensywnego ciemnego błękitu zdawały się przewiercać ją na wylot...

- On? - odpowiedziała w końcu. - Skąd wiesz, że...?

- Nie żartuj, Liz - odezwał się szorstko. - Jeśli ta historyjka jest w ogóle prawdziwa, nie potrafię sobie wyobrazić, jak taką reakcję mogłaby wywołać kobieta! Tak czy owak, widziałem, jak wlepiłaś spojrzenie w jakiegoś faceta, potem całkiem zbladłaś i zamarłaś, zanim... postanowiłaś zwać. Nie przysparzając mi tym żadnych kłopotów, nawiasem mówiąc - dorzucił oschle.

Zrobiła wielkie oczy.

- Obległy cię kobiety?

Przez chwilę wyglądał, jakby chciał ją udusić.

- Nie. Ale kiedy zdałem sobie sprawę, jak długo cię nie ma, poprosiłem Narelle o sprawdzenie łazienek. Wyglądała - dodał gorzko - na zaintrygowaną.

- I co dalej?

- Ślad po tobie zaginął, więc w końcu założyliśmy, że wezwałaś taksówkę i wyszłaś.

- W międzyczasie czaiłam się na tyłach domu - powiedziała z westchnieniem. - No dobrze, chodziło o mężczyznę. My... umawialiśmy się, ale nie wyszło i ja... próbowałam... próbowałam uniknąć spotkania - wyrzuciła z siebie rwącym głosem.

- W porządku - powiedział wolno. - Dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Wyszlibyśmy po prostu głównymi drzwiami.

Przegryzła wargę.

- Doznałam czegoś w rodzaju szoku i trochę się spięłam - wyznała.

- Trochę? - zdumiał się. - Powiedziałbym raczej, że zareagowałaś histerycznie, i to nie ma sensu. Narelle podejrzewała cię, że miałaś przeprowadzić dla kogoś rozpoznanie. Ja też tak mogłem pomyśleć. Któreś z nas, lub oboje, mogliśmy zawiadomić policję. Poza tym - dodał trafnie - nigdy bym cię nie podejrzewał o histerię.

Ach, nie znasz okoliczności, pomyślała i pociągnęła następny wzmacniający łyk brandy.

- Sprawy sercowe są... bywają specyficzne - powiedziała cicho. - Możesz zazwyczaj uchodzić za wcielenie spokoju, ale... - przerwała i machnęła ręką, jednak nie popatrzyła na niego, bo nawet we własnych uszach to wyjaśnienie brzmiało kiepsko.

Zaskoczył ją.

- W takim razie, pani Montrose - powiedział powoli, z zastanowieniem - mimo wszystko nie zachowuje się pani jak typowa Królowa Śniegu?

Nie odpowiedziała. Zmarszczył brwi.

- Właśnie sobie coś przypomniałem. Jesteś samotną matką, prawda?

Słyszając to, podniosła wzrok, nagle zimny jak lód. Machnął niecierpliwie ręką.

- Nie krytykuję cię, ale właśnie przyszło mi do głowy, że dlatego pracujesz dorywczo.

- Tak - przyznała, rozluźniając się nieco.

- Opowiedz mi o tym.

Objęła kieliszek dłońmi. Jak zwykle, na myśl o cudzie obecnym w jej życiu, poczuła ciepło w sercu.

- Ma prawie cztery lata, nazwałam ją Scout i... i wygląda jak... laleczka - uśmiechnęła się.

- Kto się nią opiekuje, kiedy pracujesz?

- Matka. Mieszkamy razem. Mój ojciec nie żyje.

- Dobrze się wam układa?

- Dobrze - potwierdziła. - Scout kocha moją matkę, a mama... - Na jej twarzy odbił się smutek. - Cóż, ona też czasami potrzebuje opieki. Bywa odrobinę ekscentryczna. - Spoważniała. - Czasem toczymy ze sobą boje, ale jakoś dajemy sobie radę.

- A ojciec Scout?

Pytanie gwałtownie sprowadziło ją na ziemię. Spięta, objęła się ramionami.

- Panie Hillier, to naprawdę nie pańska sprawa.

Przyjrzał jej się z namysłem, zauważając zmianę w zachowaniu. Najwyraźniej ojciec dziewczynki stanowił drażliwy temat.

Skrzywił się, jednak powiedział:

- Panno Montrose, przeszła pani przez mur mojej posiadłości, a także błąkała się pani po domu mojej babki ciotecznej, więc to jest moja sprawa. W obu posiadłościach znajduje się wiele kosztowności.

Zmrużył oczy, wpatrując się w nią ostrym wzrokiem.

- Jak dotąd nie usłyszałem wystarczającego wyjaśnienia.

- Nie... nie rozumiem, o co ci chodzi. Nie miałam pojęcia, że to twój dom. Nie miałam pojęcia, że dziś wieczór odwiedzę twoją krewną - mówiła z narastającym zapamiętaniem. - Tylko idiota zdecydowałby się po wpływie chwili was oboje okraść!

- Lub samotna matka z problemami finansowymi? - Widząc, że nie potrafi wydusić odpowiedzi, dorzucił: - Samotna matka gustująca, z tego co widzę, w drogich ubraniach.

Zacisnęła powieki i w myślach zaczęła się łajać, że była taka głupia.

- Nie należą do drogich. Szyje je moja matka. No dobrze! - powiedziała nagle i potrząsnęła głową na widok niedowierzania malującego się na jego twarzy. - Mężczyzna z przyjęcia to ojciec Scout. Dlatego tak zareagowałam. Nie kontaktowałam się z nim i nie go widziałam od kilku lat.

- A próbowałaś?

Potrząsnęła głową.

- Między nami wszystko skończone. Odreagowywał zawód miłosny i... - głos się jej lekko zatrząśł - traktował związek ze mną wyłącznie jako przelotny romans. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko... - przerwała, uśmiechając się ponuro - jak tylko znieść to po męsku i wycofać się. Rzecz w tym, że...

- Nie przypuszczałaś, że zaszłaś w ciążę? - zauważył z pewną dozą cynizmu.

Zignorowała cynizm.

- O nie, wręcz przeciwnie. - Upiła brandy, modląc się, żeby się nie rozplakać. Pociągnęła nosem, próbując odpędzić łzy.

- Nie powiedziałaś mu? - zapytał, marszcząc brwi.

- Powiedziałam. Odparł, że jedyną rzeczą, jaką można zrobić w tej sytuacji, jest aborcja. zaproponował pomoc, ale powiedział również, że zaczyna od początku z tą drugą kobietą, a ponadto przeprowadza się do innego stanu i obejmuje nowe stanowisko... Odniosłam wrażenie, że według niego próbuję wymusić na nim małżeństwo, więc... - wzruszyła ramionami - odmówiłam i odeszłam. Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Cam nie odezwał się.

- Chociaż - dodała - wyjechałam na miesiąc, potem zamieszkałam w innym miasteczku uniwersyteckim i przeszłam na studia zaoczne, więc nie mam pojęcia, czy próbował się ze mną skontaktować, zanim się wyprowadził.

- Wciąż nie wie o dziecku?

- Nie.

- Masz zamiar ukrywać to przed nim przez całe życie?

- Tak! - Poruszyła się nerwowo i wpatrzyła w kieliszek, który następnie odstawiła na stolik. - Scout należy wyłącznie do mnie. On nigdy nie chciał, by ujrzała światło dzienne, więc dlaczego miałabym się z nim dzielić? - Machnęła ręką. - Wciąż tak uważam, ale... - przerwała z wysiłkiem - pewnego dnia będę musiała o tym pomyśleć z punktu widzenia córki. Kiedy dorośnie i zrozumie, prawdopodobnie zapragnie dowiedzieć się czegoś o swoim ojcu.

- Ale w międzyczasie, nie chcesz, żeby się dowiedział? Dlatego dziś wieczorem wykonałaś taki zadziwiający manewr unikowy. - Podparł głowę ręką. - Twoim zdaniem zareagowałby inaczej?

Westchnęła głęboko.

- Nie wiem. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł się oprzeć Scout. Czasem... czasem wygląda jak on. Całkiem niedawno czytałam na jego temat artykuł. Zaczyna zyskiwać reputację w swojej dziedzinie. Są z żoną małżeństwem od czterech lat. Nie mają dzieci. Może istnieje wiele przyczyn takiego stanu rzeczy i zapewne wpadam w paranoję, lecz nie mogę nic na to poradzić, że śmiertelnie przeraża mnie, że w jakiś sposób zwabią do siebie moją córeczkę.

- Liz. - Pochylił się w jej stronę. - Jesteś matką Scout. Nie zabiorą jej... Chyba że nie potrafisz jej utrzymać.

- Nie pod względem prawnym, ale są przecież inne sposoby. A jeśli, gdy dorośnie, okaże się, że woli to, co oni mogą zaoferować? Jego prestiż rośnie. Mają stabilny dom. Tymczasem ja... wiąże koniec z końcem. - W jej oczach wyraźnie odbiły się surowe emocje.

- Nadal coś do niego czujesz?

W pokoju zapadła kompletna cisza, którą przerwał odgłos portowej syreny.

- Nie zapomniałam i nie przebaczyłam. - Zapatrzyła się w sadzawkę. - Chociaż to ja... wykazałam się niewiarygodną naiwnością i głupotą. Tego też sobie nie wybaczyłam.

- A powinnaś. Takie rzeczy się zdarzają. Nie zawsze mają widoczne konsekwencje, ale życie serwuje nam różne lekcje.

Ku jej zdumieniu, na jego twarzy odbiło się coś na kształt zrozumienia.

- Przepraszam - powiedziała ochryple. - Rozumiem, jeśli mnie zwolnisz, ale czy teraz mi wierzysz?

- Tak - potwierdził bez wahania. - I nie chcę cię zwolnić. Teraz jednak odwiozę cię do domu. - Dopił brandy i wstał.

- Och, wezmę taksówkę - zapewniła pospiesznie idąc za jego przykładem.

- Nie kłóć się ze mną - poradził jej.

Włożył marynarkę, nie przejmując się krawatem. Następnie rzucił okiem na zegarek. W tej samej chwili zadzwoniła jego komórka. Wyciągnął ją z kieszeni i spojrzął na ekran.

- A, Portia - mruknął. - Zgani mnie czy dokona ubliżających porównań, jak sądzisz? - Odrzucił połączenie i wsunął telefon do kieszeni.

Poczuła wyrzuty sumienia.

- Nie powinnam była ci tego mówić. A nuż... a nuż chce się wytłumaczyć? Powinieneś z nią porozmawiać.

Popatrzył na nią z góry wzrokiem pełnym kpiącego rozbawienia,

- Panno Montrose, pani troska dotycząca mojego życia miłosnego wzrusza do łez, ale Portia i ja osiągnęliśmy definitywny kres znajomości. Panie przodem. - Skinął w jej kierunku.

Wysadził ją przed blokiem i zaczekał, obserwując, jak przechodzi przez ulicę.

Zabębnił palcami po kierownicy, gdy przyszło mu do głowy, że jej długie nogi wyglądają równie zgrabnie jak Portii. Właściwie, pomyślał, ma trochę mniej zmysłową figurę, lecz dość wysoka, z wąską talią prezentuje się elegancko. Dlaczego tego wcześniej nie zauważył? Widocznie zniechęciły go okulary, upięte z tyłu włosy i nieco wojownicza postawa.

Skrzywił się, bo nie miał teraz wątpliwości, że pod powłoką opanowanej, niedotykalskiej Królowej Śniegu kryło się prawdziwe złamane serce. Poza tym zaintrygowała go. A może potraktował ją jak wyzwanie? Zapragnął roztopić lód i stworzyć ciepłą, kochającą kobietę? A może po prostu, czy jej się to podoba, czy nie, wyczuł, jak na niego reaguje?

Nieważne. Za nieco ponad dwa tygodnie odejdzie z jego życia. Chyba że...

W końcu odjechał, nie kończąc tej myśli.

Następnego ranka Liz postawiła przed swoją córeczką ugotowane jajko z narysowaną buzią. Scout zaklaskała z zachwytem.

W tej samej chwili Mary Montrose zagadnęła:

- Wczoraj wróciłaś chyba dość późno? Nawet nie słyszałam, jak weszłaś.

I dzięki Bogu, pomyślała Liz.

Teraz jednak zdała jej bardzo skróconą relację z wydarzeń ubiegłej nocy.

Podekscytowana Mary wyprostowała się na krześle

- Raz zaprojektowałam strój dla Narelle Hastings. Mówiłaś, że to cioteczna babka Camerona Hilliera?

- Tak powiedział. - Matka z entuzjazmem śledziła życie śmietanki towarzyskiej.

Mary zadumała się na moment.

- W klanie Hastingsów i Hillierów wydarzyło się parę tragedii.

Liz wytarła jajko rozmazane na małej buzi Scout i ucałowała ją w nosek.

- Dzielna dziewczynka, szybko się z tym uporałaś! Jakiego rodzaju? - zapytała matkę.

- Rodzice twojego szefa zginęli w katastrofie lotniczej, a jego siostra pod lawiną. Aż trudno w to uwierzyć. Jaki on jest?

Liz zawahała się, gdy zdała sobie sprawę, że zupełnie nie wie, co sądzić o Cameronie Hillierze.

- Jest w porządku - przyznała z namysłem i zerknęła na zegarek. - Niedługo muszę się zbierać.

Mieszkanie, które dzieliły z matką, znajdowało się na przedmieściach Sydney. Składało się z trzech sypialni i małego gabinetu, który przekształciły na pokój dla Scout, trzecią sypialnię zaś na pracownię dla Mary.

Pani Montrose szyla dla niewielkiej grupy klientów, choć swoją działalność woląla określać mianem „tworzenia”, przede wszystkim zaś uwielbiała wymyślać stroje dla dwóch osób: córki i wnuczki.

Dlatego, chociaż Liz dysponowała dosyć ograniczonym budżetem, nikt by tego nie zgadł na podstawie tego, jak się ubierała. Następnego dnia po bolesnej scenie, jaka rozegrała się pomiędzy dwiema rezydencjami, zaprezentowała się jak kwintesencja szyku. Zdecydowała, że nie będzie rezygnować ze swoich oryginalnych ubrań. Skończywszy się ubierać, przeszła do upinania włosów. Na koniec włożyła też szkła kontaktowe.

Jadąc autobusem do pracy, rozmyślała nie o swoim wyglądzie, ale o innych sprawach. W szczególności o Camie Hillierze.

Fascynował ją w osobliwy sposób - przyciągał i odpychał, chociaż oczywiście nie zadurzyła się... Nieraz miała ochotę cisnąć w niego cegłą z powodu najzwyczajszej perfidnej arogancji tego mężczyzny. Wtedy robił coś, co zmieniało jej opinię. Tak jak zeszłej nocy. Nie oceniał. Pozwolił jej nawet otworzyć przed sobą serce.

Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w szybę. Co to za różnica? - pomyślała. Wkrótce odejdzie z jego życia. Nawet gdyby została gdzieś na jego orbicie, zawsze pozostawał drażliwy temat Portii Pengelly, a jeśli nie Portii, to kogokolwiek innego, kto ją zastąpi.

Po twarzy przemknął jej zimny uśmiech. Wzruszyła ramionami, nie domyślając się w najmniejszym stopniu, co ją wkrótce czeka.

Dziesięć minut później nacisnęła przycisk windy na parterze biurowca, w którym mieściły się biura Hillier Corporation. Winda przyjechała z podziemnego parkingu prawie natychmiast. Liz weszła do niej, drzwi zasunęły się płynnie, a dziewczyna znalazła się sam na sam ze swoim szefem.

- Panno Montrose - przywitał się.

- Panie Hillier - odpowiedziała.

Obejrzał ją od stóp do głów, odnotowując stylowy ubiór, połysk włosów i lśniące wargi. Usta zadrgały mu w powstrzymanym śmiechu, gdy powiedział:

- Trudno znaleźć cechy wspólne z pokonującą mury włamywaczką z zeszłej nocy.

Posłała mu cierpkie spojrzenie i opuściła wzrok. Widział tylko starannie umalowane rzęsy. Nie skomentowała jego uwagi.

- Rozumiem, że doszłaś do siebie?

- Tak - ucięła chłodno. Nie miała zamiaru rozwodzić się na ten temat, ale przemyślała to i zmieniła zdanie. - Dziękuję. Byłeś... - Nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa. - Dziękuję.

- Nie ma sprawy.

Winda zatrzymała się i rozsunęły się drzwi, odsłaniając hol Hillier Corporation, lecz z jakiegoś dziwnego powodu żadne z nich nie poruszyło się. Wszystko w nim pobudzało jej zmysły, łaknęła kontaktu fizycznego: dotyku, zmieszania oddechów przy pocałunku...

Wtedy ich spojrzenia się spotkały. Zobaczyła, jak na policzku drga mu mięsień. I domyśliła się, że walczył z tym samym pragnieniem. Ze sposobu, w jaki na nią patrzył zeszłej nocy, wywnioskowała, że nie postrzega jej już jak biurowy mebel. Pragnie jej, tak jak ona zdaje się pragnąć jego i ta myśl zelektryzowała ją.

Drzwi windy zaczęły się zamykać, co wytrąciło ich z transu. Nacisnął guzik i gestem pokazał, że puszcza ją przodem.

Wyszła ze zduszonymi podziękowaniami i skierowała się do swojego małego biura. Oboje przywitani się z Molly Swanson.

- Daj mi dziesięć minut, Liz, i przyjdź z terminarzem. Molly, poproszę o kawę. - Zamaszystym krokiem przeszedł do swojego biura.

- Jak poszło zeszłej nocy? - dopytywała się Molly. - À propos, odebrałam już trzy telefony od panny Pengelly!

- O rany - skrzywiła się. - Obawiam się, że z Portią już koniec.

- Może dobrze się stało - stwierdziła sekretarka z mądrym uśmiechem. - On potrzebuje odpowiedniej żony, a nie tych kobiet w typie gwiazd filmowych; w każdym razie Portia zachowuje się jak słodka idiotka!

Liz zamrugnęła, ale na szczęście dyskretna wibracja telefonu odwróciła uwagę koleżanki.

Wszystko wróciło do dawnego porządku i działań związanych wyłącznie z pracą. Jedno po drugim omówili z Camem spotkania zaplanowane na ten dzień.

- W porządku - powiedział. - Masz założenia kampanii reklamowej na konferencję z Fortune'em?

Skinęła głową, potakując.

- Będziesz tam potrzebna. Trzeba będzie rozdawać i zbierać dokumenty, i tak dalej. Musisz mnie też zawieźć i odebrać z lunchu w spółce Bromwich. W całej cholernej okolicy nie da się zaparkować.

- Dobrze - mruknęła, a potem zawahała się. - Mam prowadzić twój samochód?

- Dlaczego nie?

- Szczerze mówiąc... - przygryzła wargę - umierałabym ze strachu, żeby ci go nie zarysować.

Odchylił się na oparcie krzesła.

- O tym nie pomyślałem. Szczerze mówiąc... ja też. - Popatrzył kpiąco. - Okej... weź samochód firmowy.

Rozluźniła się.

- To o wiele lepszy pomysł.

Zadrgały mu wargi. Zaraz zażartuje, pomyślała, ale chwila minęła. Spojrzał na nią z całkowicie kamienną twarzą, która nagminnie wywoływała uczucie irytacji w każdym, kto miał wątpliwą przyjemność się z nią zetknąć.

Liz nie potrafiła się jej oprzeć, szczególnie, kiedy ktoś sprowadzał ją do pozycji przysparzającej kłopotów podwładnej. Po chwili zdenerwowała się jeszcze bardziej - tym razem na siebie. W windzie, zanim zatracili się w dziwnej chwili wzajemnej fascynacji, zachowywała się wyraźnie ozięble. Zastanawianie się nad czymś więcej niż przyjaźń to czyste szaleństwo wmawiała sobie z całym przekonaniem. Gdzieś w głębi duszy jednak marzyła, żeby traktował ją... Jak? Jak przyjaciółkę?

Odkasznęła, po czym zapytała uprzejmie:

- O której chciałby pan wyjść?

- O dwunastej trzydzieści - odparł i odwrócił się.

Liz i Molly pracowały razem, przygotowując salę konferencyjną. Konferencję z firmą Fortune Seafood Group zaplanowano na dziewiątą trzydzieści. Zaczęła się o czasie i przebiegała raczej gładko. Liz robiła swoje, rozdzielając i odbierając dokumenty, podając wodę i kawę oraz znosząc zbyt wylewne podziękowania ze strony niskiego, korpu-lentnego czterdziestokilkulatka, wiceprezesa spółki.

W zamian tylko się uśmiechnęła chłodno, ale mrowienie w karku zmusiło ją do spojrzenia w kierunku Cama Hilliera. Wpatrywał się w nią nieugięcie, z dezaprobatą. Odwrócił wzrok, dopiero gdy na jej policzki wpłynął lekki rumieniec.

Nie sądził chyba, że zabiegała o męskie uznanie? Z drugiej strony to ona mogła uważać ten pomysł za niemądry, ale właśnie tak mogły być postrzegane samotne matki. Mężczyźni mogli się zastanawiać, czy prowadzi rozwiąły tryb życia...

Kiedy wiozła szefa służbowym mercedesem na lunch, stało się jasne, że nie dopi-suje mu humor. Powody okazały się dwa.

- Hm... - zaczął. - Pani Montrose, jest pani bardzo ostrożnym kierowcą.

Liz popatrzyła w lewo, w prawo i jeszcze raz w lewo, po czym przejechała przez skrzyżowanie.

- Prowadzę cudzy samochód, pańskie życie spoczywa w moich rękach, panie Hillier, mam też odpowiedni szacunek dla swojego.

- Nadmierna ostrożność może być sama w sobie niebezpieczna - skomentował. - Roger jeździ lepiej.

Poczuła, jak wzrasta jej ciśnienie, ale trzymała się. Nie zaszczyciła go odpowiedzią.

- Jeśli mnie pamięć nie myli - kontynuował - to nie muszę się także martwić o to, czy Roger otrzymuje niemoralne propozycje od goszczących u nas za-starych-na-te-gierki dostawców owoców morza. Hm, w tę lukę dałoby się wjechać autobusem.

Straciła cierpliwość. Ostrożnie wprowadziła mercedesa na krawężnik, cofnęła, żeby stał pod lepszym kątem, wyłączyła silnik i podała mu kluczyki.

Nie wrzasnęła, nie walnęła w nic pięścią, za to oznajmiła:

- Jeśli chcesz dojechać na lunch w jednym kawałku, to ty prowadzisz. I nigdy więcej nie proś mnie, żebym cię dokądkolwiek zawiozła. Poza tym potrafię dać sobie radę z niemoralnymi propozycjami. Każdym rodzajem propozycji! Nie masz się więc czym martwić. Jeśli chodzi o oszczerstwa, jakie rzucasz na moje umiejętności dotyczące prowadzenia samochodu, tak się składa, że to ja uważam ciebie za zmorę kierowców.

- Liz.

Zignorowała go. Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dwie minuty później siedział za kierownicą, a ona na miejscu pasażera. Nie wiedziała się, czy walczył z przyływem wściekłości, czy raczej śmiał się z niej, choć podejrzewała to drugie.

- No dobrze - zaczął, włączając się do ruchu. - Skontaktuj się z Bromwich i powiedz im, że nie przyjadę.

- Dlaczego nie? Nie możesz...

- Mogę. Tak czy owak nigdy naprawdę nie chciałem iść na ten ich cholerny lunch.

- Ale się zgodziłeś! - przypomniała.

- Wszystko jedno, poradzą sobie beze mnie. To lunch na dwieście osób. Mogłem się łatwo zgubić w tłumie - powiedział w zamyśleniu.

W twoim przypadku to wysoce nieprawdopodobne, pomyślała z ironią.

- Co im powiedzieć? - spytała z napięciem.

- Powiedz im... - przerwał - że pokłóciłem się z osobistą asystentką, która najpierw zagroziła mi pobiciem, a potem określiła mnie mianem zmory, przez co czuję się niejako poniżony i w rezultacie niezdolny do udzielania się towarzysko na większą skalę.

Spojrzała na niego ze skrajną frustracją.

- Przede wszystkim nie ma w tym krzty prawdy! - wycodziła.

- Powiedz im również - dodał - że z powodu tak pięknego dnia uznałem plażę za lepsze miejsce na lunch. Zjemy rybę z frytkami. Lubisz rybę z frytkami?

Uniosła ręce w geście desperacji.

- Jak rozumiem, nic cię nie przekona, że to bardzo zły pomysł?

- Nic - potwierdził, po czym obdarzył ją charakterystycznym krzywym uśmiechem. - Chyba powinnaś była o tym pomyśleć, zanim w napadzie złości przekazałaś mi samochód.

- Zachowywałeś się dość... nie dało się z tobą wytrzymać!

- Mmm... - Zamyślił się, lekko marszcząc czoło. - Jestem dziś nieco wytrącony z równowagi. Masz ten sam problem? Po tym, co zdarzyło się w windzie? - dodał łagodnie.

Zapatrzyła się na drogę. Co by się stało, gdyby przyznała, że nie wie, jak sobie poradzić z przyciąganiem, które znienacka pojawiło się pomiędzy nimi? Przydarzyło jej się to po raz pierwszy od długiego czasu i przerażało ją. Zdawała sobie sprawę, do czego prowadzi takie uczucie. Poza tym, co mogłoby z tego wyniknąć?

Najwyżej romans, rozważała. Milioner nie ożeni się z samotną matką borykającą się od czasu do czasu z niezapłaconymi rachunkami. Ożenić się! Dobry Boże, co jej w ogóle przychodzi do głowy? Nawet przy najlepszych chęciach i braku przeszkód musieliby przejść długą drogę.

Pomyślawszy raz o rachunkach, nie umiała przestać o nich myśleć, jak również o fakcie, że nie miała w odwodzie innej pracy.

Po prostu wypłacź się z tego, nie tracąc pracy, nakazała sobie.

- Przepraszam, że straciłam nad sobą panowanie - wybąkała w końcu. - Nie... nie uchodzę za najlepszego kierowcę. Nie mam dużego doświadczenia, ale robiłam, co w mojej mocy.

Rzucił jej szybkie spojrzenie podszyte szyderstwem.

- To wszystko?

Przełknęła ślinę, w pełni rozumiejąc jego uczucia - unikała kwestii zdarzenia w windzie, a on o tym wiedział. Nerwowo splotła palce, ale odpowiedziała spokojnie:

- Obawiam się, że tak.

W samochodzie zapadła cisza. W końcu Cam stwierdził:

- To zamyka dyskusję. Innymi słowy, nie jest nam pisane stać się dla siebie kimś więcej, pani Montrose?

- Właśnie - potwierdziła ledwo dosłyszalnie. - Och. - Sięgnęła po torebkę. Zrobi wszystko, żeby tylko rozładować napięcie. - Zadzwoń do Bromwich, chociaż trudno złapać kogoś o tej porze.

- Niech będzie i tak - zgodził się.

Uświadomiła sobie, że nie chodziło mu o lunch, na który nie pójdzie.

Zawahała się, lecz postanowiła umocnić swoje stanowisko w tej sprawie.

- Nie musi mnie pan zabierać na lunch. Całkiem rozumiem sytuację.

- Nie sędę, pani Montrose - powiedział przeciągle. - Przede wszystkim, umieram z głodu, a ponieważ Roger i ja często jadaliliśmy razem, gdy byliśmy poza biurem, nie musi pani odnosić się do tego podejrzliwie.

- Podejrzliwie?

Tym razem popatrzył na nią z rozbawieniem podszytym ironią w błękitnych oczach.

- Podejrzewając, że zamierzam z panią flirtować lub szturmować pani mury obronne.

Nic na całym świecie nie mogło powstrzymać jaskrawego rumieńca. Ukryła zażenowanie, dzwoniąc do miejsca, gdzie odbywał się lunch.

Restauracja, do której ją zabrał, dysponowała otwartą przestrzenią na promenadzie rozciągającej się nad plażą. Znaleźli stolik w cieniu parasola z brezentu, złożyli zamówienie i podziwiali błyszczące wody zatoki w Sydney. Mieli stąd widok na gmach Opery i most Sydney Harbour Bridge.

Cam nie rzucał słów na wiatr. Nie próbował jej podrywać ani nie wywierał presji. W jakiś sposób sprawił, że zjedli w przyjacielskiej atmosferze.

Zachowywał się odmiennie niż w innych sytuacjach. Nie tylko nie przypominał aroganckiego multimilionera z biura, ale też humorzastego wcielenia z samochodu. Nawet wyglądał młodziej.

- No cóż. - W końcu zerknął na zegarek. - Wracajmy do pracy.

- Dziękuję za lunch. - Wstała.

Poszedł za jej przykładem i na jedną krótką chwilę ich spojrzenia się spotkały - bawące i poważne. Po chwili oboje odwrócili wzrok i poszli do samochodu.

Liz wiedziała, że przyjdzie jej zapłacić za ten miły lunch następną bezsenłą nocą. Godzinami przewracała się z boku na bok; dręczyły ją wspomnienia tego niezwykłego dnia.

Muszę to zwalczyć, postanowiła, oblewając się zimnym potem. Przelotny romans z mężczyzną, który, biorąc pod uwagę historię jego związków z kobietami, raczej nie potrafi się zaangażować. W każdym razie nie potrafił w znajomość z Portią Pengelly, co oznacza, że ją wykorzystywał - sam to mniej więcej przyznał.

Muszę pamiętać, co przeżywa osoba wykorzystana, która słyszy, że w danych okolicznościach sposobem postępowania jest aborcja...

Wpatrzyła się w ciemność. Chwilę później zamknęła oczy. Pod powiekami zapiekły ją łzy.

Gdy w końcu obeschły, wznowiła monolog. Liz, nawet jeśli nie czujesz się już Królową Śniegu, musisz przetrwać. Nie pozwól, by skrzywdził cię kolejny mężczyzna.

Pomógł jej fakt, że Cam Hillier wyjechał na następne dwa dni, ale po jego powrocie wciąż zostały jej jeszcze dwa tygodnie pracy.

Wydawał się jednak w innym nastroju. Mniej opryskliwy - w każdym razie w stosunku do niej. Skończyły się dwuznaczne uwagi, przestał przypominać, że kiedykolwiek stali w windzie całkowicie sobą zauroczeni. Pogodził się z Portią? Czy stąd wziął się lepszy humor? A może znalazł następczynię?

Cokolwiek się wydarzyło, trochę się rozluźniła, nawet gdy jadąc na spotkanie, utknęli w korku i dla zabicia czasu zapytał ją o wcześniejsze życie.

- Jak dostałaś pracę w agencji?

- Zadziałał szczęśliwy zbieg okoliczności - uśmiechnęła się. - Jedna z moich wykładowczyń miała kontakty w agencji i dobre rozeznanie co do typu pracowników, jakich dostarczali firmom na zastępstwo. Podszkoliła mnie w większości obowiązków osobistej asystentki, matka przygotowała mi odpowiednią garderobę i *voilà*, jak to mówią.

- Nie zawadził fakt, że masz głowę na karku - mruknął pod nosem. - Pewnie pomiędzy zleceniami bierzesz wolne?

Przytaknęła.

- Zawsze staram się dostać parę tygodni, nie tylko, żeby odciążyć matkę, ale żeby móc spędzić więcej czasu ze Scout.

- Wciąż ci szyje ubrania? Chodzi mi o matkę.

- Tak. Zaprojektowała tamten żakiet. - Wytłumaczyła, skąd wziął się w biurze w dzień przyjęcia. - W zasadzie uszyła go z myślą o weekendach, kiedy pracowałam na pół etatu w bardzo ekskluzywnej restauracji.

- Ojciec byłby z ciebie dumny.

- Tego nie wiem.

- A co z ojcem Scout? Pojawił się znowu?

Potrząsnęła głową.

- Zastanawiam się, czy sprowadził się z powrotem do Sydney.

- Jeśli chcesz, dowiem się. Nawet jeśli tak się stało, Sydney to duże miasto. - Rzucił jej pytające spojrzenie.

- Nie. Nie, dziękuję. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Jak to się często zdarza, nieszczęścia chodzą parami, co odkryła Liz tego samego wieczoru. Usłyszała w radiu wywiad z ojcem Scout, w którym wypowiadał się głównie na temat ekonomii - swojej dziedziny - ale nie tylko, bo także o przeprowadzce z Perth do swojego rodzinnego miasta. Wspomniał, że nie ma jeszcze dzieci, lecz z żoną wciąż się o nie starają.

Wyłączyła radio, próbując skupić się na fakcie, że ukochany z przeszłości obecnie budzi w niej jedynie niesmak. Starła się skoncentrować na tym uczuciu, by odpędzić zimne macki strachu.

Następnego poranka szef wystąpił z niezwykłym poleceniem. Właśnie robiła porządek na jego biurku przed spotkaniem z dyrektorem działu zasobów ludzkich, kiedy odebrał telefon, raczej niezwiązany z pracą.

- Zbił szybę? - powtórzył po jakimś czasie, ze zdziwienia unosząc brwi. - Nie pomyślałbym, że da radę... Cóż, nieważne. Proszę mu powiedzieć, żeby nie próbował tego znowu robić, dopóki nie przyjadę. - Odłożył telefon. Przez kilka minut obserwował Liz, najpierw z roztargnieniem, potem marszcząc w skupieniu czoło.

Uświadomiwszy to sobie, zerknęła na swój przykładowy strój biurowy - letnią garsonkę. Wszystko wydawało się w porządku: guziki pozapinane, nie wystawało ramiączko stanika, czy coś w tym rodzaju, więc spojrzała na niego pytająco.

Zabębnił palcami o biurko.

- Pamiętasz piosenkę o bumerangu, który nie chciał wrócić?

Zamrugła, zastanowiła się chwilę, po czym potrząsnęła głową.

- Niestety, nie.

- A ja chyba tak - powiedział powoli. - Spróbuj, proszę, ją znaleźć.

Miała zamiar dopytać się o szczegóły, lecz wyprzedziło ją przybycie dyrektora HR.

Później tego samego dnia zakomunikowała mu, że znalazła ten utwór i że całkowicie ją oczarował.

- To stary szlagier sprzed lat. Wykonywał go Charlie Drake - poinformowała. - Bumerang nie tylko nie wrócił, ale przy okazji uderzył w lecącego awionetką lekarza.

- Świetnie - powiedział Cam.

Nie skomentował, pozostawiając Liz w stanie zdumienia.

Kilka dni później znowu ją zaskoczył.

Siedziała pochłonięta myślami. Przed wyjściem do pracy szukała czegoś w torebce i okazało się, że przez nieuwagę zagarnęła wiadomość przeznaczoną dla matki. Stara przyjaciółka prowadząca szkołę tańca pisała o corocznym koncercie. Czy Mary interesowałoby zaprojektowanie kostiumów na to przedstawienie? Musiałaby na to poświęcić jakieś trzy miesiące pracy.

Na odwrocie Mary Montrose napisała taką odpowiedź:

„Bardzo żałuję, ale obecnie nie dysponuję wolnym czasem. Wszystkiego dobrego...”

Jeszcze jej nie wysłała. Odmówiła jedynie dlatego, że opiekuje się wnuczką, pomyślała Liz i wzdrygnęła się. Ale co robić? Scout spędzała dwa poranki w przedszkolu, na więcej nie było je stać. Te dwa wolne poranki w tygodniu to za mało, żeby matka mogła przyjąć zlecenie, które sprawiłoby jej taką przyjemność.

Wstrząśnięta i przygnębiona, odłożyła list na stolik w przedpokoju i wyszła do pracy.

Najpierw przejrzeni z szefem harmonogram, a następnie poprosił o rozpiskę na dzień następny.

Przyglądał jej się w ciszy przez minutę lub dwie, po czym oddając jej terminarz, oświadczył zdecydowanie:

- Przełóż wszystko.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Wszystko?

- To właśnie powiedziałem. - Odchylił się na oparcie krzesła.

- Ale... - przerwała, przygryzając wargę.

Musiałyby przełożyć co najmniej dziesięć spotkań w tej czy innej formie, między innymi pięć poważnych, dotyczących drugiej, trzeciej, czwartej czy nawet piątej strony, więc odwołanie ich wywoła efekt domina i, w efekcie, chaos.

Zdenerwowała się.

- W porządku. Co będzie pan jutro robił? To znaczy, co mam mówić? Pan Hillier musiał pilnie wyjechać? Czy... - umilkła, wpatrując się w niego.

Szelmowski uśmiech przebiegł po jego wargach, ale odparł z całą powagą:

- Tak. I mów tym chłodnym tonem damy. To powinno w sposób godny podziwu załatwić sprawę.

Zmarszczyła czoło.

- Chyba nie wyrażam się... uważasz, że wyrażam się z nadęciem?

- Jak najbardziej. - Uniósł jedną brew. - Winę ponosi prawdopodobnie ta szkoła prywatna, do której chodziłaś.

Zrobiła kwaśną minę, a po chwili celowo zmieniła temat.

- Czy powinnam wiedzieć, co pan zamierza jutro robić, czy wolałby pan, żebym pozostawała w nieświadomości?

Grymasem ust dał znać, że zauważył zmianę tematu.

- Byłoby to trudne, bo jedziesz ze mną. Wybieram się do Yewarry i potrzebuję twojej pomocy. Muszę zatrudnić personel.

- Yewarry? - powtórzyła oszołomiona.

- Mojej posiadłości w Górach Błękitnych.

- W Górach... - Złapała się na tym, że powtarza jak papuga, więc zmieniła taktykę.
- To znaczy, ile nam to zabierze?

- Raptem jeden dzień, w godzinach pracy - odpowiedział bez zająknięcia. - Jeśli wyjedziemy stąd o ósmej rano, to na pewno wrócimy w godzinach pracy. I ubierz się swobodnie.

- Zamierzasz jechać samochodem? - dopytywała się.

- Aha. Dlaczego nie?

Poruszyła się nerwowo.

- Jadąc samochodem, wolę nie czuć się, jak gdybym leciała na niskim pułapie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Obiecuję przestrzegać jutro ograniczeń prędkości. W każdym razie posiadam bardzo dobry samochód, a sam uchodzę za bardzo dobrego kierowcę.

Otworzyła usta, żeby dodać, że również za niezwykle skromnego, ale zmieniła zdanie. Jak się przekonała na własnej skórze, nie da się na sto procent stwierdzić, jak zareaguje sprowokowany Cam Hillier...

- Tak - zagaił Cam, rozsiadając się na krześle z rękami za głową - jeszcze tylko trzy dni, zanim Roger zasili znów nasze grono, całkowicie wyleczony z mononukleozy, jak zapewniam.

- Owszem - odrzekła cicho.

- A ty, Liz, odjedziesz w stronę zachodzącego słońca.

- Zgadza się - potwierdziła.

- Ale dobrze nam się ze sobą pracowało. No może - usiadł prosto i wykonał szeroki gest ręką - oprócz tych dwóch razów, kiedy ledwie powstrzymałaś się od wymierzenia mi policzka, i dnia, w którym postraszyłaś mnie czymś jeszcze gorszym. - Błękitne oczy błyszczały szatańskim rozbawieniem.

- Mam wrażenie, że nie pozwolisz mi o tym zapomnieć, więc dobrze się składa, że wkrótce odjadę w stronę zachodzącego słońca, czy coś w tym rodzaju.

Niedane jej było usłyszeć ripostę, ponieważ gwałtownie otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadła panna Pengelly.

- Cam, muszę z tobą porozmawiać, och! - Stała w miejscu, a po chwili podeszła wolno i złowieszczo, krokiem modelki, stopa przed stopą. - A to kto? - zażądała odpowiedzi, wpatrując się w Liz.

Liz wstała i podniosła terminarz.

- Pracuję tu. Hm... jeśli to wszystko, panie Hillier, wróć do swoich obowiązków. Przepraszam - powiedziała do Portii i wyszła z pokoju, jednak nie na tyle szybko, żeby nie usłyszeć, jak kobieta wypowiada jego imię z, jak mogło się wydawać, pełnym żaru błaganiem.

Wyruszyli punktualnie o ósmej.

Nie rozmawiali wiele podczas przebijania się przez korki, dopóki nie wyjechali z zatłoczonego Sydney - zgodnie z przepisami, jak zauważyła rozluźniając się - i skierowali się na zachód. Po minięciu Penrith droga zaczęła się wspinać i pojawiły się Góry Błękitne.

Prawie dotarli do celu, gdy ni z tego, ni z owego zapytał:

- Gdzie masz następny przydział, Liz?

Skrzywiła się.

- Jeszcze nie mam, ale jestem pewna, że coś się nadarzy - dodała. - Czasami po prostu się nie wie.

- Jak sobie dasz radę, jeśli przez dłuższy czas nic się nie pojawi?

Poruszyła się niespokojnie.

- Będzie dobrze - przerwała, po czym rzuciła mu chłodne spojrzenie. - Naprawdę doceniam twoją troskę, ale, proszę, nie rozmawiajmy o tym już więcej. Odchodzę za parę dni i trudno mi będzie, trudno będzie zapewne nam obojgu nadal zachowywać profesjonalizm, jeśli takie sprawy zaczną pojawiać się w naszych relacjach.

- Profesjonalizm? - Przejechał w ciszy jakiś kilometr. - Profesjonalizm ulotnił się, że tak to ujmę, zanim „takie sprawy zdążyły się pojawić”.

Zmarszczyła brwi.

- O co ci chodzi?

Odwrócił wzrok od jezdni i patrzył na nią wystarczająco długo, by dostrzegła w jego oczach ironię.

- Narelle miała rację. Naszym przeznaczeniem jest wyjść poza ramy układu pracodawca - pracownik. Mówiąc bez ogródek, pani Montrose, między nami iskrzy, a zaczęło iskrzyć dokładnie tutaj, w tym samochodzie przed moim domem, prawie dwa tygodnie temu. Przypuszczalnie nawet wcześniej, tego dnia w biurze, gdy przebrałaś się i pozwoliłaś włosom zaznać swobody.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Opadła jej szczęka.

- I to uczucie dało o sobie znać ponownie dzień później w windzie - przypomniał, zmieniając biegi i skręcając za róg. - Właściwie nigdy nie zniknęło pomimo twoich najlepszych chęci, żeby je uśmiercić na amen.

Wpatrzyła się w swoje dłonie.

- Posłuchaj - szepnęła ledwo dosłyszalnie - musiałbyś oszaleć, chcąc się ze mną związać. I vice versa.

Kątem oka dostrzegła szelmowski uśmiech, zanim powiedział:

- To nie działa w ten sposób.

- Powinno, dla dwójki rozsądnych dorosłych - odparła chłodno. - Potrafisz przecież dokonywać wyborów, prawda?

Znowu zmienił bieg i zwolnił.

- A na czym mamy się oprzeć? To jak strzał w ciemno. - Skręcił kierownicą i wjechał na podjazd zagrodzony wysoką bramą z kutego żelaza.

- Jesteśmy na miejscu? - spytała.

- Jesteśmy na miejscu. - Nacisnął pilota zamontowanego na desce rozdzielczej i brama zaczęła się otwierać. - Witaj w Yewarze, Liz.

Przez chwilę miała ochotę uciec - z jego samochodu, jego posiadłości i od samego Cama Hilliera. Poczowała zmęczenie, jak gdyby wchodziła w strefę, w której straciła kontrolę. Tym niemniej, kiedy jechał powoli zwirowym podjazdem, ogarnął ją zachwyty. Poniżej majestatycznych drzew rozciągały się grządki biało-niebieskich agapantów, kwitł jaśmin, a kapryfolium pięło się po jakarandach, wybuchając bladofioletowymi kwiatami. Nie zabrakło też gardenii i róż. Na ogród składało się wspaniałe bogactwo barw i aromatów.

Odwróciła się w kierunku szefa z twarzą rozjaśnioną podziwem.

- To po prostu... piękne.

- Dziękuję. W pewien sposób to hołd dla mojej matki, dla jej umiłowania ogrodów.

Zatrzymał samochód obok fontanny.

- Dom też wygląda nieźle - skomentowała z lekko kpiącym uśmiechem. - Ty go zbudowałaś?

- Nie. I prawie nic przy nim nie zrobiłem. No, zmieniłem to - poprawił się, gestem wskazując fontannę. - Stał tu raczej przyprawiający o mdłości krąg zawstydzonych nagich dam ściskających pulchne cherubinki.

Teraz widniało tam coś krańcowo różnego. Z wody wyskakiwał odlany z brązu delfin, wyzwalając kaskadę lśniących kropli.

- Czy delfiny mają dla ciebie jakieś specjalne znaczenie?

Zastanowił się.

- Są właściwe dla osoby, której korzenie związane są z morzem, jak przypuszczam.

- Ale ty przeszedłeś długą drogę - podsunęła.

- Długą drogę - zgodził się.

Chociaż powiedział to dość lekko, w jego słowach pobrzmiwała nuta przygnębienia.

W tym momencie drzwi frontowe gwałtownie się otworzyły i stanął w nich mały chłopiec, na oko pięcioletni. Powstrzymywany przez nianię machał z przejęciem rękami.

- Kto...? - zaczęła i ugryzła się w język, nie chcąc wyjść na wścibską.

- To Archie - powiedział Cam. - Osierocony syn siostry. Adoptowałem go.

Otworzył drzwi i wysiadł, a Archie wyrwał się niani. Przemknął po żwirze, wołając:

- Cam! Cam! Strasznie się cieszę, że cię widzę! Wenonah urodziła sześć szczeniaków, a oni pozwalają mi zatrzymać jednego!

Cam podniósł siostrzeńca i uściskał go.

- Pomyśl tylko - podsunął - o piątce innych dzieci, które marzą, żeby dostać szczeniaka, ale nie dostaną, jeśli ty je wszystkie zatrzymasz.

Liz zamrugała. Wydawało jej się, że Archie jest starszy. Z pewnością nie oczekiwała, że zobaczy swojego pracodawcę zachowującego się tak swobodnie w towarzystwie pięciolatka...

- Chyba masz rację - powiedział powoli chłopiec.

- Och, cóż, może się zgodzę. - Przytulił się do Cama.

- Zostajesz?

- Nie na noc - odparł, lecz na widok smutnej buzi Archiego, dodał: - Za to przyjadę na weekend. - Postawił malca na ziemi. - Poznaj Liz, pracuje dla mnie.

- Dzień dobry - przywitał się, prezentując nienaganne maniery. - Czy chciałabyś obejrzeć moją menażerię?

Oboje, Cam i stojąca wciąż w progu niania, otworzyli usta, żeby zaproponować, jednak Liz była szybsza.

- Dzień dobry, Archie. Z wielką przyjemnością.

Wsunął swoją rączkę w jej dłoń.

- Trzeba iść tą ścieżką. Pokażę ci.

- Tylko nie za długo, Archie - przypomniał Cam. - Liz i ja musimy popracować.

Zwierzyniec znajdował się na ogrodzonym terenie niedaleko domu. U góry rozpostierała się siatka, a w jej obrębie i na zewnątrz rosły dające cień krzewy.

- Sam zbudowałeś to wszystko? - zapytała, całkiem oczarowana, przyglądając się wysypanym żwirem ścieżkom, stawowi z małym wodospadem oraz zamkowi dla świnek morskich. Scout byłaby zachwycona.

- Nie. Mam tylko pięć lat - sprostował. - Większość zrobił Cam, a ja pomogłem. Proszę. - Wręczył jej świnkę morską. - Nazwałem ją Golly.

- A gdzie Wenonah? I szczeniaki?

- Niedaleko w stajniach. Jest trochę niedobra dla królików i reszty. Lubi je gonić. Chcę wytresować szczeniaka, żeby tego nie robił. Rzecz w tym... - zmarszczył czoło - że nie wiem, czy wziąć chłopca, czy dziewczynkę.

- Może Cam pomógłby ci podjąć decyzję? Na pewno coś ci poradzi.

Rozpromienił się.

- No jasne. Popatrz, to coś wyjątkowego: jaszczurka z niebieskim językiem!

- O rany! - Ostrożnie odłożyła Golly i opadła na kolana. - Ojej!

W takiej pozycji nieco później znalazł ich Cam - oboje roześmiani, na kolanach, próbowali przywabić jaszczurkę Wally'ego, która ukryła się w swojej jaskini.

Liz spojrzała do góry i wstała, otrzepując spodnie.

- Przepraszam, ale to fascynujące. Właśnie myślałam, jak bardzo menażeria podobałaby się Scout.

- Kim jest Scout? - spytał Archie. - Czy on lubił zwierzęta?

- Ona. To moja córeczka i uwielbia zwierzęta.

- Powinnaś ją ze sobą przywieźć, żeby się ze mną pobawiła.

- Och...

- Zobaczymy - zainteresował Cam. - Czy mogę teraz zabrać Liz?

Chłopiec zgodził się, choć niechętnie.

- Podbiłaś jego serce - zauważył, gdy wracali do rezydencji.

- Przebywając odpowiednio długo w towarzystwie dzieci, przełączasz się na „tryb szkraba” - powiedziała z humorem, przechodząc przez drzwi z wyrzeźbionym motywem delfina i stając jak wryta.

Hol wejściowy był w zasadzie balkonem prowadzącym do salonu poniżej, umeblowanego okazałymi wygodnymi kanapami. Nieliczne ozdoby i obrazy wyglądały na bezcenne. Dech w piersiach zaparła jej jednak ściana z wysokich do sufitu okien, za którą roztaczał się najbardziej oszałamiający widok, jaki kiedykolwiek widziała.

Poniżej okien rozciągały się strome zbocza doliny w całym swoim dzikim splendorze zmierzającej w kierunku światła poranka.

- To... niesamowite. Czy taki widok może spowszednieć? - zapytała.

- Raczej nie, nieustannie się zmienia: inne światło, inna pora dnia, inna pogoda.

Gabinet znajduje się na dole.

W gabinecie Cam wskazał jej krzesło, a sam zajął miejsce za biurkiem.

- Nie wiem, jak potrafisz stąd wyjeżdżać - zauważyła, gdy nalewał kawę z cynowego termosu. Przyjmując filiżankę, przechyliła głowę na bok. - Menażeria to twój pomysł?

- Mniej więcej. - Zamieszał kawę. - Archie od zawsze interesował się zwierzętami, więc pomyślałem, że zamiast myszy w pudełkach po butach zrobimy to jak należy. - Opuścił wzrok na swój kubek. - Chyba pomogła mu przeboleć stratę matki.

Zawahała się, ale nie kontynuowała tego wątku.

- Cóż, przyjechałam tu do pracy, więc... - umilkła, widząc, jak z ironicznym błyskiem w oku skrzyżował ramiona i po prostu na nią patrzył.

Wtedy napłynęły wspomnienia słów wypowiedzianych w samochodzie.

Zamknęła oczy, czując, jak rumieniec zalewa jej policzki.

- Nie wracajmy do tego, panie Hillier - wykrztusiła. - Prawdę mówiąc, nie zgadzam się na omawianie tego tematu.

- Dlaczego? Przecież ta rozmowa miała miejsce?

- Uznałam ten incydent za chwilowe zaćmienie umysłu - odparła chłodno, powracając do roli Królowej Śniegu.

Szeroko się uśmiechnął, tym razem prezentując pełną wersję swego krzywego, lecz jakże charyzmatycznego uśmiechu.

- A nie za odrobinę frywolności pomiędzy dwójką ludzi?

- Cóż - zaczęła, myśląc szybko. - Ni z tego, ni z owego dostałeś kosza. Może to tkwiło gdzieś w twojej podświadomości.

- Portia jest ostatnią osobą, o której chciałbym rozmyślać. - Zabębnił palcami po biurku. - Zabrzmiało to trochę...

- Zabrzmiało to dosyć bezwzględnie - przerwała.

- Wymyśliła sobie, że w zamian za swoje... wdzięki namówi mnie na zainwestowanie w linię ubrań, a dokładniej w kostiumy kąpielowe. Niezmiernie pragnęła je projektować i, bez wątplenia, prezentować na wybiegu - wyjaśnił oschle. - Kiedy przyjrzałem się z bliska całemu przedsięwzięciu, okazało się, że to nadmiernie zatłoczony rynek i marna inwestycja. Nigdy nie składałem żadnych obietnic, mimo tego wyraziła pogląd, że ja... hm... zdradziłem ją.

Liz zamrugła.

- Zaskoczona? - Uniósł brew.

- Owszem - przyznała.

- Założyłaś, że chodzi o inną kobietę? - zasugerował z błyskiem złośliwego rozbarwienia w oczach.

Przygryzła wargę. Wyglądała na rozdrażnioną, ponieważ stała się obiektem drwin. Mimo wszystko właśnie to automatycznie założyła.

- No cóż... tak. Naprawdę oczekiwałeś, że po tym wszystkim wciąż zechce się z tobą spotkać? - dodała. - Ja bym na to nie liczyła.

Przeciągnął ręką po włosach z ponurą miną.

- Właśnie. Tu się pomyliłem - wyznał. - Myślałem, że przynajmniej zaufa mojej ocenie sytuacji. - Wzruszył ramionami. - W każdym razie w sprawie pieniędzy.

- Rozumiem - wybąkała niezobowiązująco.

Co miała mówić w takiej sytuacji?

Odchylił się na oparcie krzesła z niewyraźnym uśmiechem.

- Między nami wszystko skończone.

- Zaledwie wczoraj wydawało się całkiem na odwrót, przynajmniej z jej strony! - zaprotestowała.

- Teraz jest - sprostował sucho. - Możesz mi wierzyć.

Uświadomiła sobie, że mu wierzy.

- Nawet przez sekundę nie wyobrażaj sobie, że Portia nie znajdzie kogoś innego - przerwał, patrząc na nią przenikliwie. - Prawdopodobnie znacznie wcześniej niż ja, skoro z determinacją odgrywasz Królową Śniegu.

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Skąd...?

- Znamy się prawie od miesiąca. Wystarczająco długo, żebym potrafił dostrzec, kiedy ogarnia cię taki nastrój. Nieważne, nie mówmy o tym. Jak sobie radzisz z końmi?

Znowu otworzyła usta, żeby powtórzyć w zdumieniu „z końmi?”, lecz w porę się powstrzymała.

- Nie mam pojęcia, po co ci ta informacja - odparła - ale lubię konie. Jeździłam w dzieciństwie. Jeśli jednak zamierzasz zapytać o trawlerzy, nigdy na żadnym nie pływałam i nie mam ochoty tego robić!

Uniósł brwi.

- Po co miałbym o to pytać?

Gestem wskazała ściany.

- Dla ciebie zdają się wiązać ze sobą. Konie i trawlerzy. A ponieważ nic z tego nie rozumiem, w oszołomieniu pomyślałam, że będą następne.

Popatrzył z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Nie, ale rzeczywiście mają dla mnie związek. Odziedziczyłem po ojcu flotę statków rybackich, a to umożliwiło mi kupno koni.

- Rozumiem. - Umilkła na chwilę, po czym spytała: - Zechciałbyś mi powiedzieć, dlaczego ma znaczenie, czy lubię konie? A gdy już o tym mówimy, dlaczego bierzesz pod lupę mój życiorys i dlaczego mam wrażenie, że wylądowałam tu pod fałszywym pretekstem? - rzuciła.

- Naprawdę chodzi o zatrudnianie personelu, Liz. Chciałbym zaproponować ci stanowisko związane z zarządzaniem tym miejscem.

Tym razem autentycznie odebrało jej mowę.

- Praca nie wiąże się z prowadzeniem domu, lecz z logistyką - kontynuował. - Dość często podejmuję tu gości i nieraz wydajemy przyjęcia z noclegiem. Zatrudniam dobrych pracowników do prowadzenia domu, ale potrzebuję kogoś do skoordynowania wszystkiego zarówno tu, jak i w stajniach.

- Jak... jak to? - zapytała łamiącym się głosem, ochryplym ze zdumienia. - Nie znam się za bardzo na koniach.

- Praca bezpośrednio nie ma nic wspólnego z końmi. Sporo czasu zajmuje prowadzenie samej bieżącej dokumentacji. Potrzebuję kogoś do wpisywania wszystkiego w program komputerowy.

Wzięła głęboki oddech, ale nic nie odrzekła.

- Muszę odciążyć zarządcę stadniny i ludzi pracujących przy koniach od roboty papierkowej i, nawiasem mówiąc, od ludzi, którzy kręcą się bez przerwy po stajniach.

- Ach. - Tyle tylko zdołała wykrztusić.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, a potem mówił dalej:

- Zapewniam zakwaterowanie w wygodnym domku dla personelu, dostatecznie dużym, by pomieścić ciebie, twoją córkę i matkę. Mam nawet gotowego przyjaciela dla Scout w osobie Archiego - powiedział i wpatrzył się w nią.

- Ale... - umilkła i odkaszlnęła. - Dlaczego ja?

- Zaimponowałaś mi - oświadczył, wzruszając ramionami. - Jesteś równie dobra jak Roger, a w niektórych dziedzinach nawet lepsza. Marnujesz się jako osobista asy-

stentka. Masz zdolności organizacyjne, jak również umiejętność postępowania z ludźmi. To wystarczy, by rzetelnie wykonywać tę pracę.

- Ja... - Zacisnęła dłonie, biorąc następny głęboki oddech. - Nie wiem, co powiedzieć - wyznała. - To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałam.

- W takim razie pomówmy o wynagrodzeniu. - Przez następne kilka minut w skrócie przedstawił bardzo hojny pakiet świadczeń związanych z wynagrodzeniem. Tak hojny, że odrzucenie go byłoby nie tyle zagładaniem w zęby darowanemu koniowi, co ciosem w samo końskie serce... - Proponuję trzymiesięczny okres próbny - oznajmił, uśmiechając się szeroko. - Na wszelki wypadek, gdybyś zatęskniła za światłami wielkiego miasta czy czymś takim.

- Założmy, że nie przywiozłabym matki... - usłyszała swoje ostrożne słowa, po czym utknęła.

Zmierzył ją badawczym wzrokiem.

- Dlaczego nie?

Opowiedziała o liście, który przechwyciła.

- Mama postąpiła cudownie, ale wiem, że chciałaby się zająć tym projektem, tylko jak dotąd nie potrafiłam wymyślić, co zrobić. - Potrząsnęła głową. - Niestety, tutaj też nic by z tego nie wyszło.

- Mogłabyś skorzystać z niani Archiego w czasie, gdy będzie ci trudno opiekować się Scout.

Wpatrzyła się w niego pociemniałymi z niepewności oczami.

- Dlaczego to wszystko robisz...? Jest w tym jakiś haczyk?

- Na przykład, jaki? - szepnął ledwo dosłyszalnie.

- Równia pochyła zakończona w twoim łóżku?

Stwardniał mu wzrok.

- Moja droga Liz - wycedził - jeśli myślisz, że zadałbym sobie tyle trudu, żeby zaciągnąć cię do łóżka, grubo się mylisz.

- A cóż to ma znaczyć?

- Wiesz równie dobrze, że gdybyśmy pozwolili sobie na choćby najmniejszą swobodę działania, nie moglibyśmy się powstrzymać. Ale, i podkreślam: ale - tym razem w

jego głosie zabrzmiały twarde nuty - jeśli wolisz podążać przez życie samotnie, niech tak będzie.

- Ty zacząłeś ten temat - rzuciła zapalczywie, po czym zawstydziła się swojej reakcji.

- Przynajmniej niczego nie ukrywam - sprzeciwił się.

- Ja też mówiłam szczerze.

- Niezupełnie - odparł, czekając po prostu na jej odpowiedź.

Zazgrzytała zębami.

- Nie zdajesz sobie jednak sprawy z jednej rzeczy. Samotne matki narażone są na... na to, że niektórzy mężczyźni uważają je za... rozwiążle.

W tym momencie nie oczekiwała już żadnych niespodzianek, lecz myliła się, gdyż Cameron pochylił się nagle z determinacją.

- Wiem dość sporo o samotnych matkach. Była nią moja siostra i podejrzewam, że przez ten fakt, nawet gdy staram się stawiać sprawy jasno, trochę ci współczuję.

To tłumaczyło zrozumienie malujące się na jego twarzy, kiedy słuchał jej historii.

- Mówiąc całkowicie bez ogródek - kontynuował - potrzebuję kogoś, kto wywrze odpowiedni wpływ na życie Archiego; tym kimś jesteś ty. Nie mogę z nim przebywać tyle, ile powinienem. W przyszłym roku zaczyna szkołę, co odsunie nas od siebie jeszcze bardziej. Chcę, żeby ten ostatni rok przed rozpoczęciem nauki zapadł mu w pamięć. Żeby był bezpieczny. I szczęśliwy.

- Nie wiesz... skąd wiesz, że potrafię mu to zapewnić?

- Właśnie widziałem was razem. Od pierwszej chwili, gdy tylko wspomniałaś o córce, widziałem, ile dla ciebie znaczy. Jak rozjaśniasz się na sam dźwięk jej imienia.

- Ale... - przerwała bezradnie. - To się dzieje tak szybko!

- Właśnie dzięki umiejętności podejmowania szybkich decyzji osiągnąłem sukces.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- I dzięki niezwyklej skromności.

- Masz rację - zgodził się z całą powagą, lecz nagle w jego oczach zamigotały iskiereki śmiechu.

- Cóż...

- E... Przepraszam? - usłyszeli obcy głos.

Oboje odwrócili się i ujrzeli stojącą w drzwiach kobietę.

- Przygotowałam lunch, panie Hillier. Podałam w kuchni, czy to państwu odpowiada?

- Jak najbardziej, pani Preston. Dziękuję.

Kuchnia była olbrzymia, o ścianach z cegły, wyłożonej kafelkami podłódze i kosztownych wykończeniach. W kącie stał stół z refektarza z sześcioma krzesłami. Kobieta, do której Cam zwrócił się per „pani Preston”, siwowłosa, o rumianych policzkach i znacznym obwodzie w talii, serwowała steki i pieczone ziemniaki zwieńczone kwaśną śmietaną ze szczypiorkiem. Przyniosła wypełnioną po brzegi miskę z sałatką oraz koszyk świeżo upieczonych bułek.

- Głodna? - zapytał, gdy usiedli.

- Nagle zdałam sobie sprawę, że umieram z głodu - wyznała i rozejrzała się. - A gdzie Archie?

- U dentysty w Leura, tylko na przegląd - dodał. - Pani Preston, czy mogę przekazać panie Montrose, co powiedziała pani parę dni temu przez telefon?

Gospodyni zamrugwała.

- Oczywiście.

Cam sięgnął po butelkę wina i nalał im po kieliszku.

- Od dobrych kilku lat pani Preston zajmuje się domem, będąc przy tym natchnionym szefem kuchni. - Uniósł kieliszek w niemym toaście. - A może sama pani o tym opowie?

Gospodyni klasnęła w ręce i zwróciła się do Liz.

- Zadzwoiłam kilka dni temu do pana Hilliera, bo wiedziałam, że zrozumie. - Rzuciła pracodawcy czułe spojrzenie. - Robię się coraz starsza - mówiła dalej - i rzeczywiście chciałabym skoncentrować się na gotowaniu. Zawsze lubiłam sama wybierać świeże składniki, ale jeśli chodzi o resztę zaopatrzenia, przy gospodarstwie tej wielkości i dużej liczbie podejmowanych gości, wołałabym sporządzać listę zakupów i ją komuś wręczać. Nie chcę się już więcej martwić, czy mamy odpowiednią ilość świeżej pościeli lub czy potrzebujemy nowych serwetek. Nie chcę się zajmować przyjmowaniem i zwal-

nianiem ekipy sprzątającej albo liczeniem sreber, w razie gdyby ktoś miał lepkie palce. Marzę, żeby ktoś inny przejął te obowiązki - powiedziała niemal tęsknie.

Cam popatrzył pytająco na Liz, a jej przeszło przez myśl, że nie wyczarował tej posady ni z tego, ni z owego, jakiegokolwiek kierowały nim motywy. Ona naprawdę istniała. Istniało jeszcze coś: personel uwielbiał swojego szefa. I nie chodziło wyłącznie o panią Preston, ale też Molly Swanson oraz kilka innych osób, które poznała.

Zjadła kawałek rozpluwającego się w ustach steku i oświadczyła:

- Moim zdaniem, niezależnie od decyzji, to znaczy od decyzji, jaką podejmę, byłoby rzeczą karygodną dłużej obarczać panią wszystkimi innymi sprawami. To najlepiej przyrządzona wołowina, jaką kiedykolwiek jadłam.

- Dziękuję, panno Montrose. - Gospodyni zaczęła się odwracać, lecz zawahała się i dodała jeszcze: - Archie naprawdę panią polubił. Powiedział, że ma pani małą córeczkę.

- Tak, prawie czteroletnią.

- To wspaniałe miejsce dla dzieci.

- I jak uważasz? - zapytał, gdy po lunchu szli obok siebie w kierunku stajni.

- Ja... wciąż nie wiem, co powiedzieć - wyznała.

- Jeśli martwisz się, że proponuję ci ciepłą posadkę zarządcy, zapewniam, że będziesz odpowiedzialna nie tylko za prace w domu, ale i za ogrody, cały teren - zatoczył krąg ręką.

- Pewnie wolałbyś mężczyznę? - odcięła się. - To znaczy, mężczyznę, który mógłby... no... - Rozejrzała się nieco bezradnie. - Naprawiać ogrodzenia i tak dalej.

- Mężczyzna, który mógłby naprawiać ogrodzenia, z całym prawdopodobieństwem nie dałby sobie rady z prowadzeniem domu. Z drugiej strony bystra kobieta, która umie najać potrzebnych pracowników wtedy, kiedy ich potrzebuje, załatwi obie te rzeczy. - Popatrzył na nią z góry. - Co więcej, kobieta nieakceptująca głupiego zachowania z nicyjej strony z pewnością stanowi cenny nabytek.

- Czuję się przy tobie jak jakiś sierżant. Przykro mi, że ci się raz odgrażałam, ale sam się o to prosiłeś.

- Przyjmuję przeprosiny - odparł poważnie. - O czym to mówiliśmy? A, tak. Dom wymaga ulepszeń. I jest jeszcze kwestia programu komputerowego dla stajni.

Liz milczała.

- Tylko pomyśl, jak to będzie dobrze wyglądać w CV - kusił. - Zarządca posiadłości Yewarra. Lepiej niż tymczasowa osobista asystentka.

- Zakładając, że się zgodzę, od kiedy miałabym zacząć?

- Dopiero gdy wróci Roger i przekazesz mu obowiązki. Możesz też potrzebować kilku wolnych dni, żeby się zorganizować. No, dotarliśmy na miejsce.

Olbrzymi mężczyzna około czterdziestki siedział przed komputerem i dosłownie rwał sobie włosy z głowy. Miał czuprynę w kolorze piasku i piegi. Od razu rzuciło się w oczy, że lubi spędzać czas na świeżym powietrzu.

Mężczyzna, Bob Collins, okazał się zarządcą stadniny. Przywitał się z nimi z rozkojarzeniem.

- Znów przepadł - ujawnił powód swego stanu. - Cały cholerny program zniknął w jakiejś, kurczę, cybernetycznej czarnej dziurze!

Cam zerknął na Liz. Skrzywiła się, lecz przysunęła krzesło i zadawszy kilka pytań, zaczęła uderzać w klawisze. W ciągu kilku minut odzyskała program.

Po raz pierwszy Bob spojrział na nią z należytą uwagą, klepnął ją w plecy i odwrócił się do szefa.

- Nie wiem, skąd ją wytrzasnąłeś, ale mogę ją sobie zatrzymać? Proszę!

- Zobaczymy. Jeszcze nie zdecydowała.

Wracali do rezydencji, oboje pogrążeni w myślach, gdy zadzwonił jego telefon.

- Tak. Aha... Dziś po południu? No, dobrze. Powiedz Jimowi, że będzie musiał zaraz lecieć z powrotem do Sydney.

Zakończył rozmowę i zwrócił się do Liz.

- Zmiana planów. Mój prawnik musi się ze mną pilnie zobaczyć. Przyleci firmowym helikopterem i zostanie na noc. Ja...

- A jak wrócę do domu? - wzburzona weszła mu w słowo.

- Nie planowałem trzymać cię tu wbrew woli - oświadczył oschle. - Wracasz do Sydney helikopterem.

Zaczerwieniła się.

- Przepraszam - wymamrotała.

Zatrzymał się i położył rękę na jej ramieniu, odwracając ją twarzą do siebie.

- Jeśli - powiedział - naprawdę tak mi nie ufasz, możemy równie dobrze odwołać wszystko tu i teraz.

Wzięła głęboki oddech, przywołując całe swoje opanowanie.

- Nie miałam czasu, żeby się zastanowić, czy ci ufam, czy nie - odparła. - Myślałam o Scout i matce. Nigdy wcześniej nie zostawiałam ich samych na noc.

Ręka spoczywająca dotąd na jej ramieniu opadła. Wydawało się, że powie coś jeszcze, jednak odwrócił się i odszedł w kierunku domu. Zawahała się, po czym ruszyła za nim.

Prawnik, który wysiadł z biało-niebieskiego helikoptera, wyglądał na znękanego. Lądowisko dla helikopterów wybudowano po przeciwnej stronie budynku niż menażeria.

Liz, czekając, aż będzie mogła wsiąść, sama czuła się znękana. Miała nadzieję, że tego po niej nie widać. Spędziła całe popołudnie w towarzystwie pani Preston, zwiedzając rezydencję. Zrobiła na niej wielkie wrażenie, szczególnie skrzydło zaprojektowane z myślą o dzieciach. Pokój zabaw stanowił spełnienie marzeń każdego szkraba. Poza tym znajdował się tam niewielki aneks kuchenny i trzy sypialnie...

Z drugiej strony, czekający razem z nią Cam, wyglądał na rozluźnionego i zrelaksowanego. Wziął ze sobą Archiego i rzucało się w oczy, że ta nieprzewidziana zmiana planów uszczęśliwiła chłopczyka.

- Czy mogę to przemyśleć? - spytała Liz.

- Jasne - zgodził się beztrąsko i podszedł do prawnika. - Dzień dobry, Pete. To Liz, ale właśnie wyjeżdża. Wsiadaj, Liz.

I to by było tyle?, pomyślała, wdrapując się do śmigłowca. Zaczęła zapinać pasy, po czym nagle przestała.

- Proszę chwilę poczekać - rzuciła do pilota. - Zapomniałam zapytać... Czy możemy chwilę poczekać?

Pilot ze znużeniem wzruszył ramionami.

- Cokolwiek pani sobie życzy.

Odpięła pas i wysiadła. Dwójka mężczyzn na lądowisku odwróciła się do niej z zaskoczeniem.

- Panie Hillier, zapomniałam zapytać, czy przyjedzie pań jutro do biura i o której godzinie.

- Na tym etapie trudno powiedzieć.

Zbladła.

- Na jutro przesunęłam część dzisiejszych spotkań!

- No to będziesz musiała znowu je poprzesuwać.

Oparła dłonie na biodrach.

- I jaki powód mam podać tym razem?

- Obojętnie.

Ze złością wciągnęła powietrze, lecz zmusiła się do zachowania spokoju.

- W porządku - oznajmiła nonszalancko. - Przekażę wszystkim, że pojechałeś na ryby.

Obróciła się na pięcie i wsiadła z powrotem do helikoptera.

- Możemy już ruszać - poinformowała pilota.

Jedynie oczy zdradzały prawdziwy stan uczuć. Rzuciły iskry gniewu.

Pilot spojrzął na nią, tym razem z uśmiechem na ustach.

- Ale mu pani powiedziała. Brawo!

- Panu... panu też trudno z nim wytrzymać?

Pochylił głowę, uruchamiając silnik. Wirniki zaczęły się obracać.

- Czasami. Ogólnie rzecz biorąc, to najlepszy facet, dla którego dotąd pracowałem.

Domyślałam się, że wszyscy uważamy tak samo.

- I tę opinię - zwierzyła się matce nieco później wieczorem, po podsumowaniu głównych punktów dnia - podziela gospodyni, zarządca stadniny i sekretarka, Molly Swanson. Potrafi być trudny, ale naprawdę go podziwiają i szanują. Siostrzeniec go uwielbia. - Z konsternacją potrząsnęła głową Naprawdę nie przypuszczałam, że ma taką stronę charakteru. A zresztą, w ogóle o tym nie myślę.

- Weź ją - powiedziała impulsywnie Mary. - Weź tę pracę. To krok do przodu w karierze zawodowej. A ja pojedę z tobą!

- Mamo, nie - sprzeciwiła się i opowiedziała o przeczytanej wiadomości. - Jeśli ją przyjmę, to dlatego, żebyś mogła mieć więcej wolnego czasu i robić to, co kochasz i w czym jesteś taka dobra.

Mary zaparła się i dyskusja toczyłaby się w nieskończoność, gdyby Liz nie rzuciła w końcu z frustracją:

- Jutro może się okazać, że szef zmienił zdanie. Bywa irytujący i mniej więcej to mu dziś wytknęłam.

Kiedy jednak poszła spać, pomyślała o Archiem; w towarzystwie siostrzeńca Cam stawał się innym człowiekiem. Innym i pociągającym...

Cam Hillier, nieświadom faktu, że został właśnie zaliczony do grona aroganckich multimilionerów przyłapał się na rozmyślaniu o Liz. Nalał sobie drinka przed snem i zaniósł do gabinetu. Prawnik poszedł spać, Archie również, choć oczywiście dużo wcześniej.

Liz stanowiła dziwną mieszankę. Uśmiechnął się nagle na wspomnienie jej pożegnalnych docinków. Taka bystra i kompetentna, taka atrakcyjna... Przypomniawszy sobie, jak dziś się prezentowała: jej szczupłą figurę w dżinsach i bluzce. Poruszała się spokojnie i płynnie. Pomyślał o tym, jak wpatrzyła się w niego niewidzącym wzrokiem, lecz z drugiej strony jak rozjaśniła się na widok ogrodów i przy chłopcu.

Otrzeźwiła go myśl, że bez wątplenia dziewczyna ma udręczoną duszę. Nic dziwnego, zastanawiał się, obserwując bursztynową głębię trunku. Z przeszywającym poczuciem straty wspomniawszy Amelię, matkę Archiego, i to, jaką krzywdę jej wyrządziło samotne macierzyństwo.

Wrócił powoli do biurka i rozsiadł się na obrotowym krześle. Przyłapał się na wspomnianiu wczesnych lat małżeństwa rodziców.

Dokończył drinka i zaczął bawić się kieliszkiem. Dlaczego na myśl o rodzicach tak często czuł się - jak? Jak gdyby grał fałszywe tony w symfonii życia?

Czy może dlatego tak się dzieje, że choć pozbierał nitki ich ciężkiej pracy i związał razem, po czym przekształcił w fortunę, nie doświadczył uczucia danego rodzicom?

Na drugim końcu skali natomiast znajdowało się wspomnienie siostry, która po tym, jak nierozsądnie się zakochała i została porzucona, nigdy nie wróciła już do równowagi. A teraz pozostał Archie, zarówno bez matki, jak i bez ojca, bo Amelia nie zdradziła imienia ukochanego.

Czy to nie wystarczy, żeby z cynizmem odnosił się do miłości i jej tragicznych konsekwencji?

Skrzywił się. Nie mógł pominąć tych wszystkich kobiet ścigających go z myślą o pieniądzach.

Zabawne, zadumał się, ale czy w głębi serca nie traktował miłości równie cynicznie jak Liz Montrose?

A czy w ogólniejszym sensie za jego frustracje nie odpowiada uczucie, że nie postępował właściwie z Archiem?

Wyprostował się gwałtownie, bo dotarło do niego, że nie tylko siostrzeńcowi przydałoby się więcej jego czasu. On sam zaprzął się w kierat, pochłonięty zdobywaniem coraz większej władzy krępującej czasem niczym kaftan bezpieczeństwa. Mimo tego nie potrafił się wyzwolić.

Nie miał stałej kobiety ani prawdziwej rodziny. Może tu należałoby się doszukiwać źródła jego i nastroju? Odstawił kieliszek z głuchym odgłosem, gdy przysłała mu do głowy pewna myśl, Czy to dlatego robił wszystko, żeby uniemożliwić Liz, by odjechała w stronę zachodzącego słońca? Z powodu czegoś więcej niż pociąg fizyczny, którego nie potrafił zwalczyć? Czy podświadomie dostrzegał widoki na stworzenie rodziny z nią, jej córką i Archiem? Czy to dlatego złamał niepisany rozejm, jeszcze zanim zaproponował jej pracę?

Nie planował tego. Coś go podkusiło, z powodu tego jej cholernego chłodnego opanowania. A on marzył nie tylko o jej ciele, ale i o niej samej.

A co, jeśli udręczona Królowa Śniegu okaże się tą, której naprawdę pragnął i nie mógł dostać?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka Liz spóźniła się do pracy. Powodem był nietypowy napad złości ze strony Scout. Dziewczynka nie chciała się ubrać, nie chciała zjeść śniadania i nie chciała robić niczego, co zwykle robiła.

Ponieważ nie miała gorączki ani innych symptomów, Liz wywnioskowała, że córka przejęła jej własne niespokojne wibracje po następnej nieprzespanej nocy.

- Idź - poleciła matka. - No, najpierw skończ się ubierać. Zajmę się nią i pamiętaj, co powiedziałam - dodała znacząco.

W tej chwili, po błyskawicznej wizycie w łazience, gdzie nałożyła makijaż i przygładziła włosy, miała jedynie piętnaście minut spóźnienia. Z tego powodu przekazana przez Molly wiadomość, że szef chce ją widzieć, okazała się nieprzyjemną niespodzianką.

- W-widzieć? - wyjąkała. - Sądziłam, że dziś nie przyjdzie do pracy. No, w każdym razie nie rano.

- Przyszedł ponad godzinę temu. Bierz terminarz - nakazała.

Tak też zrobiła. Odetchnąwszy głęboko kilka razy, zapukała i weszła do gabinetu Cama Hilliera.

Rozmawiał przez telefon. Gestem pokazał, żeby usiadła.

Położyła terminarz na biurku i usiadła. Korzystając z okazji, że rozparty w fotelu Cam, zwrócony bokiem do niej, wciąż rozmawiał przez telefon, postanowiła odzyskać pozory spokoju. W tym celu założyła włosy za uszy, wygładziła sukienkę i skrzyżowała nogi w kostkach. Zrobiła kilka dyskretnych ćwiczeń twarzy, po czym wyprostowała ramiona, położyła dłonie na kolanach i wbiła w nie spojrzenie.

- Gotowa?

Gwałtownie uniosła wzrok i, ku jej konsternacji, zdała sobie sprawę, że nie zauważyła, kiedy skończył rozmowę.

- Hm... tak. Przepraszam za spóźnienie.

- Sądziłaś, że zostałem w Yewarze? - zasugerował.

- Nie o to chodzi. Scout trochę kaprysiła. Poza tym - dodała uczciwie - naprawdę miało cię nie być.

Obserwował ją przez dłuższą chwilę, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Postanowiłem - powiedział w końcu - że moja reputacja może nie wytrzymać etykiety „pojechał na ryby”.

Zarumieniła się lekko.

- Nie zrobiłabym tego - mruknęła.

- Wczoraj po południu zrobiłabyś - oświadczył z całą powagą.

Poruszyła się trochę niespokojnie, lecz nie odezwała się.

Wstał i podszedł do szerokich okien wychodzących na miasto. Jeśli chodzi o ubiór, zniknął swobodny styl z dnia poprzedniego. Dzisiaj wyglądał w każdym calu na odnośnego sukcesy biznesmena, który zajmował się różnorodnym zakresem inwestycji, od floty rybackiej po wiele innych przedsięwzięć.

Odwrócił się.

- I co? Jaka decyzja?

- Cóż, przedyskutowaliśmy twoją propozycję z matką i ona... - przerwała i odkaslnęła. - Nie - poprawiła się. - Ja chciałabym przyjąć tę posadę. Jeżeli nie zmieniłeś zdania.

Wsadził ręce do kieszeni.

- Dlaczego miałbym zmienić zdanie?

- Przez etykietkę „pojechał na ryby”? - skrzywiła się.

Uśmiechnął się przelotnie.

- Prawdopodobnie mi się należało. Zachowałem się złośliwie. Nie, nie zmieniłem zdania. Mów dalej. Chcesz, żebym uwierzył, że decyzję podjęłaś ty, a nie twoja matka?

- Tak - przyznała i znów wygładziła sukienkę. - Mówiąc szczerze, nie mogłabym ze spokojnym sumieniem odrzucić twojej oferty. Pod względem finansowym będę w o wiele lepszej sytuacji, będę pracowała niemal w domu i nie będę musiała brać pół etatu w weekendy. Jeśli chodzi o karierę, to tak jak powiedziałeś, stanowisko zarządcy będzie znacznie lepiej wyglądać w CV. Zapewni mi o wiele więcej czasu ze Scout i... - przerwa-

ła, zbierając się w sobie - ogólnie sprawi, że wyjdę na lepszą matkę, która da córce więcej.

- To znaczy, gdyby ojciec Scout zdecydował się zakwestionować, czy się nadajesz? Skinęła potakująco głową.

- Czyli zamierzasz mu powiedzieć?

- Nie. Ale... - zawahała się. - Przeprowadził się z powrotem do Sydney. - Wyjaśniła, jak się tego dowiedziała. - To następny powód, dla którego poczuje się szczęśliwsza gdzie indziej.

- Nie możesz w ten sposób uciekać.

- Wiem. Niemniej poczuje się szczęśliwsza. Poza tym dzięki lepszej pracy, takiej jak ta, zdobędę... wyższą pozycję społeczną, pomyślę lepiej o sobie, o swoim życiu, i tak dalej.

- A twoja matka? Co o tym sądzi?

- Popiera mnie, chociaż musiałam ją przekonywać do pozostania w Sydney i do podjęcia pracy przy projektowaniu kostiumów. Zwróciłam jej uwagę, że jako kobieta zaledwie pięćdziesięcioletnia, potrzebuje trochę pożyć. Oczywiście, przyjedzie do nas i spędzi z nami trochę czasu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dobrze - skrzywił się. - Czy ty w ogóle cieszysz się z tej posady? Sam pragmatyzm nie wystarczy, jeśli wydaje ci się poniżej twoich kwalifikacji lub jeśli nie cierpisz miejsca pracy.

- Nie cierpieć Yewarry? - powtórzyła zdumiona. - Trudne zadanie.

- Lub jeśli poczujesz się samotna.

Po tych słowach ich intensywne spojrzenia spotkały się i Liz poczuła, że nie może odwrócić wzroku. Usidliło ją coś w jego głosie i w sposobie, w jaki na nią patrzył.

- Zamierzam na tyle nie mieć czasu, by nie odczuwać samotności.

Od razu zorientowała się, że nie odpowiedziała na niezadane pytanie - pytanie dotyczące, jak to ujął, iskrzenia pomiędzy nimi.

Samotność, uświadomiła sobie ze zdumieniem.

Od lat była samotna. Tęskniła za szczególnym towarzystwem mężczyzny. Bez wątplenia Cameron Hillier znakomicie połączyłby role przyjaciela i kochanka, ale na jak

długo, zanim natknie się na następną Portię? No, może nie Portię, ale... Przestań! Zganiła się. Nie zagłębiaj się w te rejony...

- Liz? Zamierzasz bawić się w gierki?

Ponieważ z żadnym innym mężczyzną nie rozmawiała dotąd tak otwarcie, postanowiła odplacić mu szczerością.

- Jeśli chodzi ci o to, czy zaprzeczę, że czuję do ciebie pociąg... Nie, nie zaprzeczam. Jednak... - Umilkła i potarła dłonie, a potem splotła palce. - Nie mogę pozwolić, żeby miał na mnie wpływ. Zrobiłam jeden okropny błąd w imię czegoś, co wzięłam za miłość, a co okazało się przelotnym zauroczeniem. Wciąż próbuję posklejać kawałki nie tylko swojego życia, ale zapewne... zapewne ducha.

Umilkła, nie zdając sobie sprawy z wielkiego napięcia malującego się na jej twarzy. Spróbowała złagodzić ton wypowiedzi.

- Mógłbyś pomyśleć, że pięć lat wystarczy, by dojść do siebie. - Uśmiechnęła się zdawkowo. - Ale nie. A teraz, wybacz, wybacz mi te słowa, pojawił się pan, panie Hillier.

- Mów dalej - zachęcił sucho. - Chyba że mam zgadywać? Nie jesteś pewna, czy mam uczciwe zamiary, czy wręcz na odwrót? - Przerwał, po czym oznajmił dobitnie: - Z pewnością nie okazałbym się na tyle bez serca, żeby zostawić cię samą w ciąży.

- To ja... odeszłam od niego - wyszeptała.

- Liz, teraz masz dwadzieścia cztery lata. To oznacza, że kiedy to się wydarzyło, miałaś dziewiętnaście. Prawda? - dociekał.

- No, tak. Ale...

- Ile on miał lat? - kontynuował. - Więcej niż ty, jak mniemam.

- On... trzydzieści pięć.

- A kim był? Nie chcę nazwisk - dodał, gdy z oburzeniem wciągnęła powietrze.

- Moim opiekunem naukowym. - Przygarbiła się.

- To powtarzająca się historia, Liz - powiedział. - Starszy mężczyzna z pewnego rodzaju autorytetem. Młoda, często naiwna, zafascynowana nim dziewczyna. Nie powinien był odejść z twojego życia, nie oglądając się wstecz, bo właśnie ułożyło mu się z inną kobietą. Powinien wiedzieć lepiej od samego początku.

- Słuchaj - zaczęła znużonym głosem, będącym odbiciem tego, co malowało się w jej oczach - niezależnie od twoich zamiarów, uczciwych czy też nie, nie jestem gotowa, by znowu podążać tą drogą.

- Dlaczego więc przyjmujesz tę pracę?

- W końcu nadarzyła mi się szansa na wydostanie się z dołka, w którym tkwię razem ze Scout. Poza tym...

- Mów dalej - zachęcił.

- Może to zabrzmieć dziwnie, lecz w zasadzie podjęłam decyzję, widząc cię z Archiem. Ale jeśli mój pobyt... - zawahała się.

- Ale co jeśli twój pobyt? Utrudni mi życie? - zasugerował.

Splonęła rumieńcem.

- Ja nie... to znaczy ja... - Przygryzła wargę.

Podszedł do biurka i opadł na krzesło.

- Mam w wolnym czasie zająć się rąbaniem drewna? - Zadrzały mu usta.

- Mówię poważnie - powiedziała cicho. - Może powinniśmy dać sobie z tym spokój.

Odwrócił się na krześle. Teraz spoglądał jej prosto w twarz, z całkowitą powagą.

- Nie. Wydajesz się przekonana, że dasz radę, więc ja również.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego zaproponowałeś mi tę pracę, jeśli...

- Jeśli nie planuję zepchnąć cię po równi pochyłej wprost do mojego łóżka? - przypomniał z zimnym rozbawieniem. - Z powodu siostry. W każdym razie to jeden z powodów. Jej historia przypomina twoją, lecz nigdy nie dowiedzieliśmy się, kto był ojcem Archiego. Nie zgodziła się nam powiedzieć, choć najwyraźniej został jej uraz. Zgorzkniała i czuła się zdradzona. Czasem zastanawiam się, czy uważała, że ja... - machnął ręką - wezmę sprawy w swoje ręce, jeśli zdradzi jego imię. Potem zginęła pod lawiną, podczas wyjazdu na narty, gdy chłopiec miał trzy lata, i zabrała tajemnicę do grobu.

- Wziąłbyś? - spytała z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia. - Sprawy.

Zacisnął usta i odwrócił wzrok.

- Nie wiem, co bym zrobił. Z bólem obserwowałem jej cierpienie.

- Nie masz zatem najmniejszego pojęcia, kim on jest?

- Nie. W tym czasie przebywała za granicą.

- Och. Przykro mi.

Zapatrzył się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, po czym wzruszył ramionami.

- Zawarliśmy więc umowę, panno Montrose?

Zawahała się.

- Bez obaw. Nie będę ci się narzucał.

Nie domyślał się, że z powodu tej obietnicy przebiegł jej po plecach niedorzeczny - wysoce niedorzeczny - dreszcz, który postanowiła zignorować.

- Tak - oświadczyła w końcu.

- Okej. Zacznę wszystko załatwiać. A teraz zobaczmy, co mamy na dziś w planach.

Sięgnęła po terminarz i odczytała kolejno wszystkie pozycje.

Potem poinformował ją, jakie spotkania ma dla niego umówić na najbliższe dni. Mówił normalnie i rzeczowo, a Liz robiła notatki. W końcu wstała.

- Zaraz się za to wezmę.

Była już przy drzwiach, gdy zawołał ją po imieniu. Odwróciła się zdziwiona. Po chwili odezwał się cicho:

- Zawsze możesz ze mną porozmawiać. Gdybyś tego potrzebowała... lub chciała.

Utkwiła w nim spojrzenie. Ku swojemu przerażeniu poczuła, jak w oczach wzbierają jej łzy. Zamrugła kilka razy.

- Dziękuję - powiedziała z chrypką w głosie. - Dziękuję ci. - Odwróciła się szybko, modląc się, żeby nie zauważył, jak bardzo poruszyło ją tych kilka prostych, życzliwych słów...

Leżąc w nocy w łóżku zastanawiała się, czy za tę niespodziewaną skłonność do okazywania życzliwości tak go... pokochała? Nie... na pewno nie ma mowy o miłości. Coś ją jednak do niego przyciągało.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Musiała przyznać, że Cam Hillier dotrzymał obietnicy.

Miała za sobą pracowity, lecz satysfakcjonujący miesiąc. Wprowadziła się do domku niedaleko rezydencji, który, choć mały, okazał się wygodny, z własnym ogrodem.

Domek zapewniał również poczucie niezależności. Chociaż czasem pani Preston zapraszała ją na posiłek, najczęściej sama gotowała dla siebie i Scout. A kiedy na miejscu przebywał Cam, podejmując gości, miała się gdzie ukryć.

Mary przyjechała na parę tygodni. Była zadowolona, że córka i wnuczka dobrze się mają. Jednocześnie Liz cieszyła się, że matka jest w świetnym humorze - podekscytowana i pełna pomysłów co do projektowanych kostiumów. Poza tym na podstawie dziwnych uwag, jak to czy tamto podobało się Martinowi, stało się jasne, że Mary wpuściła mężczyznę do swojego życia. Pytania córki zbywała niezobowiązującym wzruszeniem ramion, lekko się przy tym rumieniając.

Parę razy spotkała Cama i zrobił na niej piorunujące wrażenie. Liz wcale to nie dziwiło. Naprawdę zadziwiła - choć Mary zawsze miała intuicję - dokonana przez nią ocena sytuacji pomiędzy córką a jej pracodawcą.

Ona wie, pomyślała wstrząśnięta. W jakiś sposób odgadła, że sprawy nie są takie, na jakie wyglądają.

Jeśli chodzi o pracę, przetrząsnęła rezydencję, sprawdzając, co wymaga naprawy, wymiany czy ulepszenia i zaczęła wprowadzać zmiany. Zleciła ponowne wybrukowanie zniszczonego kawałka podjazdu do stajni i osobiście sprawdziła wszystkie ogrodzenia w Yewarze.

Teren objechała na spokojnej klaczy, na której, jak powiedział Bob, mogła jeździć, kiedy chciała. Czerpała niesamowitą przyjemność z faktu, że ponownie znalazła się w siodle, i cieszyła się wiejskim powietrzem i krajobrazem.

Wprowadzenie programu komputerowego dla stajni przyszło jej z łatwością i dostarczyło sporo rozrywki Scout i Archiemu, jako że często zabierała ich ze sobą, żeby ewidencjonować źrebięta urodzone w Yewarze. Wymyślali dla nich imiona, obserwując,

jak w zaskakująco krótkim czasie robią postępy; najpierw poruszają się na sztywnych nogach, a niedługo później brykają pewne siebie.

Zdarzały się jednak momenty niepokoju. Niewyraźne cienie przyćmiewające radość i poczucie spełnienia...

Nie przyzwyczajaj się za bardzo, ostrzegła się. Cokolwiek robisz, nie zapominaj, że nie jesteś panią na włościach. Nie czuj się tu jak w sobie domu, ponieważ prędzej czy później będziesz zmuszona ruszać dalej.

Przy paru okazjach, kiedy Cam przebywał w domu z grupą gości, wielokrotnie powtarzała sobie te ostrzeżenia, ale tym razem w nieco innym kontekście. Co innego pracować z panią Preston i innymi pracownikami, upewniając się, że wszystko chodzi jak w zegarku, a co innego obserwować przyjęcie z linii bocznej, trochę jak Kopciuszek.

No, dalej, przyznaj się: czujesz się urażona z powodu dystansu, który utrzymywał Cam? Czyż nie jest to śmiechu warte?, pytała się nieraz.

Był jeszcze Archie. Poważny, wrażliwy chłopiec, o szarych oczach i ciemnych włosach uparcie sterczących na czubku głowy. Zamartwiał się przeróżnymi rzeczami; kiedy pięć szczeniaków Wenonah zostało odesłanych do nowych domów, prawie nie jadł przez cały dzień i nie mógł spać w nocy. Ścisnęło ją serce na myśl, że chłopczyk wychowuje się bez matki i ojca. Widziała, jak ubóstwia wuja starającego się zrekomensować mu niewielką ilość spędzanego z nim czasu poprzez przysyłanie pocztówek i książek czy cudownych, cudacznych rzeczy z różnych zakątków kraju i zagranicy. Rzeczy te, trzymane w specjalnej szafce w sypialni, napawały Archiego niezmierną dumą.

- Oczywiście, nie wszystkie są odpowiednie dla pięciolatka - powiedziała kiedyś niania, przeglądając je z Liz. - Weźmy to. - Ściągnęła z półki zawieszanej poza zasięgiem rąk chłopca naturalnej wielkości bumerang. - Archie nie zdawał sobie sprawy, że nie powinien z nim eksperymentować w domu i rzucił nim przez okno, rozbijając szybę. Naprawdę się martwił, aż pan Hillier znalazł dla niego piosenkę o mężczyźnie, którego bumerang nie chciał wrócić. Chłopczyk ją uwielbia. Zawsze pęka ze śmiechu i czuje się o wiele lepiej.

- Ja... Ja ją znam - powiedziała Liz ze śmiechem w głosie.

Czyli o to chodziło! - pomyślała.

Nie mogła zaprzeczyć, że wzbudzał w niej coraz większą sympatię.

Jeśli chodzi o Scout, chociaż przez pewien czas tęskniła za Mary, podobnie jak Liz przekonała się do Daisy Kerr, niani Archiego. Daisy była dziewczyną rozsądną, bardzo obowiązkową, lecz ze skłonnością do fantazjowania i wygłupów. Świetnie się odnajdywała w magicznym świecie uwielbianym przez dzieci.

Liz i Daisy wkrótce połączyły siły w celu zaangażowania dzieci w przeróżne zabawy. Jedną, szczególnie zapadającą w pamięć, określały mianem spaceru słońca. Naśladując słońce, przemierzały pokój zabaw w rytm melodii *Baby Elephant Walk* z jedną ręką wyciągniętą jako trąba, a drugą z tyłu, jako ogonek.

Maluchy szybko pojęły, o co chodzi, i zabawa ta stała się ulubioną rozrywką.

Pewnego dnia powłóczyli nogami, okrążając pokój, po czym padli na podłogę, jedno na drugie. Dzieciaki zaśmiewały się na całe gardło i nikt nie zdawał sobie sprawy, że obserwuje ich Cam, niewidoczny w progu. Liz, zmieszana z powodu swojego niepoważnego zachowania, pospiesznie stanęła na nogi i zaczęła poprawiać ubranie, ale szef zaśmiał się tylko, a w jego błękitnych oczach dostrzegła błysk aprobaty.

- Jest kilka rzeczy, które muszę z tobą omówić. Kiedy możemy zrobić wycieczkę po domu? - zapytała.

- Chcę się zaraz położyć. Co powiesz na jutro rano?

- W porządku - powiedziała wolno, przypatrując mu się badawczo.

- O co chodzi?

- Dobrze się czujesz? Tylko pytam - dodała pospiesznie - bo nigdy nie widziałam, żebyś wyglądał na mniej... no, pełnego energii.

Zabębnił palcami po stole, potem przeczesał ręką włosy i potarł szczękę, na której widniał już cień zarostu. Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby powiedział prawdę: że coraz częściej nawiedzają go myśli o niej. Że kiedy pozwala sobie na wkroczenie w świat wyobraźni, bada sekretne miejsca na jej szczupłym zgrabnym ciele. Najłżejszym dotykiem wznieca w niej żar, który zobaczył w niej raz czy dwa - ale większy, bardziej intymny, bardziej cielesny, bardziej radosny.

Oczywiście wyobraźni widział ją bez tchu, z kroplami potu na skórze, przejmująco piękną, gdy odpowiadała na jego płomienny zapach...

Co by pomyślała, wiedząc, że jej widok, tak kwitnącej, podczas gdy on przechodził przez to wszystko, cholernie go irytował?

A to nie wszystko. Wyobraził sobie rodzinę. Dotarł do swojej podświadomości i zorientował się, że interesy zdominowały całe jego życie, ze szkodą dla niego, choć nadal nie był w stanie zredukować biegu i przyhamować. Miał zamiar sprawdzić, czy Liz pasuje do życia w Yewarze, a zatem przecież i do jego życia, czy może ulepszyć je dla niego - dla nich obojga.

Tak, przez ostatni miesiąc utrzymywał dystans, żeby dać jej czas na zaaklimatyzowanie się i z powodu złożonej obietnicy, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. Nie spodziewał się też, że krąg rodzinny Liz i dzieci zostanie na dobre uformowany i teraz on będzie się czuł się we własnym domu jak osoba postronna.

- Wszystko w porządku - odezwał się w końcu. - Dziękuję za troskę - dodał dość oficjalnie, chociaż nie potrafił wyzbyć się śladu ironii z głosu. - Jutro powinienem wrócić do formy. A im szybciej stąd wyjdę, tym lepiej - mruknął pod nosem.

Liz, choć nieświadoma myśli Cama, po ich spotkaniu stała się dziwnie niespokojna. Niespokojna i nieswoja, nie wiedząc czemu. Następnego poranka, gdy chodzili po domu i pokazywała, co zrobiła, stwierdziła, że za dużo sobie wyobraziła. Wyglądał na wypoczętego i odprężonego. W dzinsach i luźnej koszuli typu safari sprawiał wrażenie zadomowionego w wiejskiej posiadłości. Zdążył już, w towarzystwie podopiecznych, odbyć manewry w rejonie strumienia, niedaleko domu, w celu zgromadzenia kijanek mających zasilić populację żab w menażerii.

Liz zauważyła, że Scout, którą onieśmielił przy pierwszym spotkaniu, całkowicie pozbyła się rezerwy.

- To jedyne pomieszczenie, gdzie proponowałabym zacząć od zera - powiedziała w progu zabudowanej werandy, oszklonej w stylu oranżerii, z wybrukowanym terenem na zewnątrz i widokiem na dolinę. Stanowiła idealne miejsce dla gości na wypicie porannej czy popołudniowej herbatki.

Cam już się zgodził na zmiany w dwóch sypialniach, nową instalację wodno-kanalizacyjną do kilku łazienek, kuchenkę dla pani Preston i machnął ręką na informacje o tekstyliach, zastawie stołowej i naczyniach kuchennych, które zamówiła.

- Dostałam wycenę oraz kilka rysunków i próbek od firmy dekoratorskiej - powiedziała - ale pomyślałam, że będziesz chciał sam podjąć decyzję.

- Pokaż mi.

Rozłożyła szkice, zdjęcia mebli i próbki materiałów Cam przyjrzał im się.

- Daj szpilkę.

- Szpilkę? - Zmarszczyła brwi.

- Zawsze powtarzasz, co ludzie do ciebie mówią? - zbeształ ją.

- Nie - odcięła się.

- Przy mnie często ci się to przydarza.

- Bo mnie ustawicznie zaskakujesz! - wypaliła. - Po co, u licha...? - przerwała i utkwiała w nim spojrzenie. - Tylko mi nie mów, że zamierzasz wybrać projekt za pomocą szpilki?

Na widok jej miny roześmiał się.

- To nie profanacja, a skoro nie mam żony, żeby wybrała za mnie, co mi pozostaje? Dlaczego ty nie wybierzesz?

- Bo nie ja będę musiała potem z tym żyć. Bo nie jestem... - umilkła wpatrzona w niego, gdy wizja, przed którą wielokrotnie się wzbraniała, przemknęła jej przez myśl.

- Bo nie jesteś moją żoną? Oczywiście, mam tego świadomość, moja droga Liz - odparł przeciągle i znów w jego słowa wkradła się ironiczna nuta.

Wczoraj mogła ją przeoczyć, ale nie dzisiaj. Zamrugła, uzmysłowiwszy sobie, że należy postępować ostrożnie. Wyczuwała niebezpieczne niedopowiedzenia, których w pełni nie rozumiała. A może zachowywała się naiwnie?

No pewnie, zrugła się. Czuła między nimi napięcie. Czuła żar...

Stali twarzą w twarz, oddaleni od siebie o nie więcej, niż trzydzieści centymetrów. Jego koszula odchyłała się przy kołnierzyku, ukazując w rozcięciu czarne kręcone owłosienie. Liz wciągnęła gwałtownie powietrze, wyobrażając go sobie bez koszuli, z odsłoniętymi mięśniami potężnego, gładkiego torsu. Poczowała mrowienie w opuszkach palców, jak gdyby przeciągała nimi po jego skórze, wyznaczając ścieżkę w dół.

Stwardniały jej sutki i doznała nagłej szokującej wizji jego dłoni na swoich piersiach, rysującej na skórze podobną ścieżkę w dół. Co gorsza, nie umiała odwrócić od

niego spojrzenia. Z pewnością odgadnie, po zarumienionych policzkach i przyspieszonym oddechu, co jej chodzi po głowie. Nie zdawała sobie sprawy, że mógł również dostrzec pulsującą żyłkę u podstawy szyi, lecz ona zauważyła drgający w jego policzku mięsień - coś, co widziała już wcześniej.

Chciała coś powiedzieć, żeby rozładować napięcie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Cam ubiegł ją.

- Masz wyrobiony gust i smak, prawda? - Wzrokiem wędrował w górę i w dół jej ciała, w sposoby który uznała za nieco zuchwały.

Pomógł jej jednak odzyskać zimną krew.

- Nie mnie to oceniać - odparła cierpko i dodała: - Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, nie podoba mi się żaden z tych pomysłów.

Odwróciła się i rozejrzała po werandzie.

- To pokój przeznaczony do odpoczynku. Powinien być przytulny, a nie zimny i oficjalny jak na tych rysunkach. Nie pasują tu pastelowe kolory i wiotkie mebelki. Potrzeba żywych kolorów i wygodnych krzeseł. Potrzeba trochę roślin doniczkowych. Potrzeba... - przerwała, przykładając palce do ust. Zdała sobie sprawę, że z powodu mętliku w głowie całkiem ją poniosło. - Przepraszam, to tylko takie moje... przemyślenia.

Obserwował ją z błyskiem rozbawienia.

- Zrób tak - powiedział po prostu.

- Co? - Brew podjechała jej do góry ze zdziwienia. - Co zrobić?

- Liz, to samo - upomniał ją. - Odnów ją sama, w stylu, który właśnie opisałaś. Brzmi dobrze. Obiecuję - dorzucił rozmyślnie. - Nie pomyłę cię z żoną.

Już miała skomentować, ale przeszkodziła jej pani Preston, która właśnie weszła do pokoju.

- Przepraszam, panie Hillier, ale chciałam się skonsultować z Liz, czy grill dziś po południu jest nadal aktualny?

- Och! - zawahała się, a potem zwróciła do Cama: - Zaplanowałam wczesnego grilla dla dzieci, około piątej po południu, w moim ogrodzie. Zrobiliśmy już tak parę razy i obojgu bardzo się podobało. Ale może chciałeś sam porobić coś z Archiem?

- Wiesz, co bym chciał? Dostać zaproszenie na tego grilla - zasugerował uprzejmie.

- To nie muszę przygotowywać posiłku dla pana na wieczór? - wtrąciła pani Preston. Nieco zbyt pospiesznie, pomyślała Liz podejrzliwie.

Cam uniósł brwi w niemym pytaniu.

- Nie. To znaczy, tak. To znaczy... - przerwała na krawędzi frustracji. - Nie, nie musi pani. Czy zechce pan przyjść na grilla, panie Hillier?

- Jeśli jest pani pewna, że to żaden kłopot? - odpowiedział grzecznie.

- Bynajmniej - odparła z nutą podekscytowania, która, miała nadzieję, uniknęła gospodyni. Zorientowała się jednak, że Cam się z niej naśmiewa, dlatego nie mogła powstrzymać się od poinformowania go: - Jako specjalność zakładu podajemy kiełbaski z chlebem.

- Och! - Pani Preston, już w drzwiach, odwróciła się teraz z twarzą wyrażającą modelową konsternację. - Och, słuchaj, pomogę ci, Liz. Nie dawaj panu Hillierowi jedzenia dla dzieci.

- Tylko żartowałam - wyjaśniła ze skruchą, obejmując zatroskaną kobietę.

Gospodyni uspokoiła się i poklepała Liz po policzku.

- Powinnaś była wiedzieć, że się ze mną droczyłaś.

- Czy aby na pewno? - wymruczał Cam, gdy gospodyni była już poza zasięgiem słuchu.

- O co ci chodzi? - dopytywała się.

- Czy aby na pewno droczyłaś się z nią. Właściwie widzę, jak skazujesz mnie na kiełbaski z chlebem wytłumaczył.

Zebrała wszystkie szkice i próbki, zanim odcięła się.

- Nie masz nic innego do roboty, tylko mnie dręczyć?

- Ty - wycelował w nią palce wskazujące obu rąk miałaś oprowadzać mnie - wskazał na siebie - pokazując mi wszelkie wspaniałe rzeczy, które zrobiłaś lub planujesz zrobić w Yewarze.

Zatkało ją.

- Jeśli... - zaczęła nieprzyjaźnie.

- Zaczekaj, powiem to inaczej - przerwał jej z humorem.

- Daruj sobie - wypaliła.

- Liz! - Śmiał się teraz otwarcie. - Gdzie twoje poczucie humoru?

- Cytując ciebie: ulotniło się. - Umilkła i z frustracją przygryzła wargę, ponieważ nie miała najmniejszej ochoty na wspomnianie rozmowy, podczas której użył tego wyrażenia. Dnia, kiedy oznajmił, że profesjonalizm pomiędzy nimi ulotnił się...

Uratował ją dźwięk komórki. Niecierpliwie wyciągnął ją z kieszeni i równie niecierpliwie odezwał się:

- Roger, nie mówiłem ci, żebyś mi nie przeszkadzał? Co? W porządku. Zaczekaj, nie, oddzwonię.

Wyłączył telefon.

- Zapewne się pani ucieszy, że ma wolne na resztę dnia - powiedział sucho. - Coś mi wyskoczyło, jak to się mówi.

- Och? Złe wiadomości? - usłyszała swój głos.

- Jeżeli potencjalne przejęcie innej firmy poprzez delikatne negocjacje wymagające ręki eksperta oznacza dla ciebie złą nowinę, odpowiedź brzmi „nie”.

- Nie wydajesz się zbyt szczęśliwy z tego powodu.

- Bo to oznacza więcej pracy.

- Z pewnością... z pewnością mógłbyś się ograniczyć? - zaproponowała i dziwiąc się sobie, dodała: - Potrzebna ci następna firma?

- Nie. Ale weszło mi to w nawyk. Do zobaczenia o piątej.

Nie wydawał się entuzjastycznie nastawiony do perspektywy przejęcia następnego przedsiębiorstwa.

Oschle określił cały proces jako uzależniający, jak gdyby zaznaczając, że robi to, choć nie do końca aprobuje.

Nie potrafił odpoczywać? Nie był w stanie się odprężyć? A jeśli tak, to dlaczego?

Zamrugła kilka razy. Nie ona jedna dźwigała brzemień. Dzięki odkryciu, że Cam Hillier potrzebuje pomocy, stał się dla niej bardziej przystępny, bliższy.

Chociaż Liz obawiała się następnego spotkania z Camem i z tego powodu czuła się spięta i niespokojna, grill przebiegał gładko, przynajmniej na początku.

Załadowała ceglany grill papierem i drewnem, upewniając się, że kratka jest czysta. Na stoliku stojącym na werandzie rozłożyła kolorowy obrus i postawiła bukiet kwia-

tów, które zebrała. Słońce jeszcze nie zaszło, mimo to zapaliła kilka świec w kieliszkach, żeby nadać jednemu z ulubionych wydarzeń dzieci nieco odświętny charakter.

Chociaż nastawiła się, że sama upiecze mięso, kiedy przybył Cam, jedno jego przenikliwe spojrzenie przekonało ją, by przekazać wodze w jego ręce. Przyniósł butelkę wina, nalał jej kieliszek i kazał się odprężyć.

Dobrze gotował i nieźle radził sobie z ogniem, musiała to przyznać, widząc gotowe steki i kiełbaski, Nic nie zostało przypalone, nic nie ociekało krwią. Wszystko było w sam raz i nie tylko Scout i Archie siedząc na kocu rozpostartym na trawie, pałaszowali, aż im się uszy trzęsły, ale ona też.

Potem nadeszła pora na lody, z dodatkową niespodzianką. Liz zatknęła w nie kilka zimnych ogni i podpaliła, wywołując ogromne zdziwienie u dzieci.

- Super! Teraz mamy prawdziwe przyjęcie! - zachwyił się Archie. - Nie bój się, Scout - dodał, gdy wetknęła do buzi kciuk. - Nic ci nie zrobią, obiecuję. Hura! - Chwyił dziewczynkę za rączkę i zaczął z nią tańczyć po całym ogrodzie, aż zapomniała, że się boi.

Nie był to koniec niespodzianek, choć następna okazała się dla Liz. Dzieci skończyły lody i uspokoiły się, a nawet ukradkiem zaczęły ziewać. Wtedy pojawiły się pani Preston i Daisy z propozycją, żeby Scout spędziła noc w pokoju dzieciennym w rezydencji.

- Tak, proszę, bardzo, bardzo proszę, mamusiu! - wyrzuciła z siebie Scout, zanim Liz miała szansę dojść do słowa.

Do tego dołączył swoje żarliwe błagania Archie, więc nie miała wyjścia i zgodziła się.

Zabrała piżamkę Scout i właśnie chciała skierować się do rezydencji, jednak pani Preston oznajmiła:

- Wy dwoje teraz odpocznijcie. Och, spójrzcie, nie skończyliście wina!

W ten sposób w ogrodzie zapadła cisza, a Liz znalazła się sam na sam z Camem i drugim kieliszkiem wina w ręce. Wschodził srebrny sierp księżyca, ft z paleniska unosiła się blada strużka dymu. Świetliki krążyły nad grządkami kwiatów, trzepocząc delikatnymi skrzydełkami.

Mimo piękna wieczoru Liz zmarszczyła brwi.

- Nie musiały tego robić.

Skrzywił się i pomyślała, że jakoś to skomentuje W końcu zauważył:

- Dzieciaki naprawdę nieźle się ze sobą dogadują.

- Mają sporo wspólnego. Ładnie się wyrażają, jak na swój wiek. Pewnie dlatego, że są jedynakami, więc dorośli poświęcają im dużo uwagi. Prawdę mówiąc Archie wydaje się szczególnie rozgarnięty. I wrażliwy

- Z pewnością docenia to, że gości ciebie i Scout Wydaje się... hm, takie stwierdzenie brzmi dziwnie w odniesieniu do pięciolatka, ale wydaje się bardziej zrelaksowany.

- Z wyjątkiem momentów, gdy jakaś dziewczynka go popycha. Prosiłam Daisy, żeby uważała na takie zachowanie.

- Prawdopodobnie do tej pory ustalili już kryteria zachowania. Granice przestrzeni osobistej. - Zerknął na nią. - Tak jak my.

Spuściła wzrok na kieliszek z winem i upiła łyk.

- Co byś powiedziała, żebyśmy rozszerzyli kryteria, Liz?

Już chciała zapytać, o co mu chodzi, lecz wiedziała, że byłoby to niegodne. Właściwie ich kryteria rozszerzyły się same, zaledwie kilka godzin temu.

- Ja... sądziłam, że wszystko świetnie się układa - powiedziała w końcu smętnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Bo tak jest - odparł sucho.

- Przystanie, jeśli ciągle... - umilkła, nie mogąc zebrać myśli.

- Będziemy się nawzajem pragnąć? Czyli dobrze mi się zdawało wcześniej?

Rzuciła mu krótkie spojrzenie.

- Droga Liz - powiedział przeciągle, odczytując je. - Nie wszystko po tobie widać.

Na przykład, gdy przyszedłem po południu do twojego ogrodu, wiało od ciebie chłodem.

Zastałem cię przygotowaną, żeby trzymać mnie na dystans najlepiej stu kilometrów. Al-

bo... - przyjrzał się swojemu kieliszkowi - zamierzałaś wydrapać mi oczy, niech no tylko zrobię coś nie tak.

Wyprostowała się, wciągając ze świstem powietrze.

- To nieprawda!

Wzruszył ramionami.

- W takim razie spięłaś się. Wtedy zacząłem się zastanawiać.

Gniew z niej wyparował. Obserwował ją w zamyśleniu.

- Nadszedł chyba czas, żebyś przyznała, że jesteś człowiekiem. Miałaś dobry powód, odrzucając pociąg fizyczny pod ciężarem doznanego zawodu. Nie wolno ci jednak do końca życia zachowywać się w ten sposób.

- Czyli... czyli... - wykrztusiła trzęsącym się głosem - uważasz mnie za melodramatyczną i niepoważną?

- Tego nie powiedziałem, za to przedkładał ci następującą propozycję: odważ się. Właśnie to próbuję przekazać.

- Poprzez nawiązanie z tobą romansu? - powiedziała z zaciśniętym gardłem. - Ja...

- Liz, nie zamierzam sprawić, żebyś zaszła w ciążę, po czym cię opuścić - dodał rozmyślnie. - Lecz nie możemy tego tak ciągnąć. Ja nie mogę tego tak ciągnąć. Pragnę cię. Powiedziałem, że nie poruszę tego tematu, zdaję sobie z tego sprawę, ale... - urwał sfrustrowany.

- To wszystko popsuje.

- Dlaczego?

- Cóż, musielibyśmy się z tym ukrywać i...

- Niby dlaczego, do cholery? Jesteś prawdopodobnie jedyną osobą w okolicy, która nie wierzy, że to nasze przeznaczenie. - Uniósł brew w ironicznym grymasie. - Jak myślisz, dlaczego zostawiono nas tu razem samych, w ogrodzie oświetlonym romantycznym blaskiem księżyca?

- Pani Preston i Daisy...? - wyjąkała zszokowana.

Pokiwał głową.

- Obie dały mi do zrozumienia, że pasowalibyśmy do siebie.

- Tak wprost?

Potrząsnął głową z rozbawieniem.

- Nigdy nie marnują okazji, żeby wychwalać cię pod niebiosa. Tak samo Bob. A nawet Hamish. - Hamish był zręczliwym głównym ogrodnikiem. - Przeszło mu przez gardło, że „niezła z ciebie dziewczucha”. No, to jest prawdziwy komplement.

Zacisnęła usta, myśląc o tych wszystkich plotkach krążących za jej plecami.

- Scout i Archie są za mali, by miało to na nich wpływ - kontynuował. - Jeśli chcesz nadal pracować, nie widzę przeciwwskazań.

Podniosła się. Ze skrzyżowanymi ramionami i kieliszkiem w ręce przeszła kilka kroków po trawniku. Obserwował ją w ciszy.

W końcu odwróciła się do niego. Oczy pociemniały jej z wysiłku, jaki włożyła w skupienie się na jego słowach.

- Liz - szepnął ledwo dosłyszalnie. - Opuść sobie, po prostu opuść sobie. Nie mam najmniejszego zamiaru cię skrzywdzić. - Odstawił swój kieliszek na trawę i wstał. - Daj mi to. - Odebrał od niej kieliszek też go odstawił. Potem lekko położył ręce na jej talii i powoli przyciągnął do siebie.

Zesztywniała, lecz gdy spojrzała na jego twarz oświetloną blaskiem księżyca, nagle pojęła, że nie może mu się oprzeć. Nieśmiało podniosła rękę i opuszkami palców dotknęła niewielkich linii po obu stronach jego ust. Chciała to zrobić od zawsze. Tak jak chciała spleść w żarze tego wysokiego, niebezpiecznie pełnego życia, niesamowicie ekscytującego, stanowiącego pokusę mężczyzny...

Odwrócił głowę i pocałował jej palce, przebiegł dłońmi w górę i w dół pleców, docierając do krzywizny bioder. Oddech zaczął się rwać, a całe ciało ożyło w rozkosznych dreszczach.

Pochylił głowę i zaczął ją całować.

Falka minut później wziął Liz na ręce i podszedł do ogrodowej huśtawki. Usiadł, trzymając ją na kolanach.

- Wybacz - powiedział. - Pragnąłem to zrobić od jakiegoś czasu i mam nieodparte wrażenie, że ty też. Może tylko o tym powinniśmy pomyśleć? - Pogłaskał lekko jej policzek.

Zastygła z rozchylonymi wargami i szeroko otwartymi za zdumienia oczyma. Sądziła, że działał na nią na rozgrzanym chodniku w Sydney, w samochodzie, w biurze czy na werandzie, ale to było nic w porównaniu z tym narastającym doznaniem, którego doświadczała teraz, w jego objęciach.

Jej ciało w miejscach, w których stykało się z jego ciałem, płonęło. Ku swojemu zdziwieniu poczuła prymitywną potrzebę, by zarzucić mu ręce na szyję i oddać we władanie usta, piersi i całe ciało, by grał na nim w tonacji, jaką lubi. Marzyła, by najpierw dotykał jej łagodnie, choć nieco drażniąco, po chwili mocniej, ulegając jej potrzebie, a w końcu by przejął kontrolę, tuż zanim wybuchłaby z pożądania. Wiedziała, że potrafi to zrobić... wzniecić w niej ogień.

Jęknęła, zamykając oczy, a kiedy poczuła jego usta na swoich, objęła go za szyję, przyciągając bliżej.

Poddał się jej niewypowiedzianemu życzeniu, jak gdyby czytał w jej myślach. Przebiegł palcami po włosach, a potem po szyi, i to było miłe. Pod jego dotykiem skóra stała się jak jedwab. Wkrótce dłoń zawędrowała pod sweter i wślizgnęła się pod ramiączko stanika, i to nie było miłe. To było wspaniałe. Jej ciało przeszyły dreszcze, prawie nie mogła znieść wypełniających ją doznań.

Wyczuwając to, zabrał rękę i na chwilę przestał ją całować, sugerując: - W tę grę może zagrać dwoje.

Uśmiechnęła się, uwolniła ręce i wsunęła mu pod koszulę.

Dotykanie Cama okazało się cudownym doświadczeniem. Gdy trzymała go w objęciach, przenikało ją rozkoszne ciepło. Więź, która ich połączyła, odesłała w zapomnienie samotne lata. Niosła jednak ze sobą zagrożenie, nie tyle z powodu możliwych następstw - nie pozwoliłaby sobie na to - lecz mniej namacalnych konsekwencji. Wraz z tym aktem oddałaby mężczyźnie duszę, którą potem mógłby bezlitośnie jej zwrócić.

Zachwiała się w jego ramionach.

Uniósł głowę.

- Liz? - powiedział z uśmiechem. - Jaka tam z ciebie Królowa Śniegu. Jeżeli już to na odwrót. Ja...

Nie miał szansy dokończyć, ponieważ próbując się uwolnić, spadła mu z kolan.

- Liz! - Wyciągnął do niej rękę. - Co się stało?

Poderwała się, unikając jego rąk i wygładzając ubranie.

- Zabrzmiało to tak, jakbym ciągle się w ten sposób zachowywała.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś. - Przeczesała palcami włosy.

- Liz. - Podniósł się z huśtawki. - Zachowujesz się teraz niepoważnie. Słuchaj, wiem, że nie bez powodu jesteś czuła na punkcie tego, co sądzą o tobie mężczyźni, ale...

- Och, z pewnością. - Cofnęła się o kilka kroków. - Przepraszam, ale taka właśnie jestem!

- Pomimo faktu, że w moich objęciach rozpalasz się jak ogień? Nie - uciał, gdy wciągnęła ze świstem powietrze - nie zamierzam osładzać prawdy na temat tego, co dzieje się między nami, tylko z powodu jednego kiepskiego doświadczenia w twoim życiu.

- Osładzasz czy nie, od tej chwili mów sam do siebie. Mnie tu już nie ma! Przebiegła przez pokryty rosą trawnik i wbiegła do domu.

Nie zamierzał jej gonić.

Następnego ranka zerknęła na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i wzdrygnęła się. Pod oczami rysowały się sine kręgi, była blada i wyglądała, mówiąc bez ogródek, na znękaną.

Wzięła gorący prysznic i ubrała się. Brakowało jej Scout, która rozproszyłaby ponure myśli. Kawa pomoże, zapewniła się i podniosła słuchawkę telefonu bezpośrednio połączonego rezydencją. Pomoże jej zrobić to, co musi.

Dwie minuty później odczekała, aż pani Preston odłoży słuchawkę, po czym trzasnęła swoją o widełki, nie dbając o to, czy telefon będzie jeszcze działać.

Przeniosła kawę na stół w kuchni i z przerażeniem stwierdziła, że płacze. Zlizwała słone łzy z warg i zmusiła się do wypicia kawy, zastanawiając się, co dalej.

Planowała złożyć rezygnację i nie przyjmować odmowy. Okazało się to niemożliwe, gdyż, według słów pani Preston, Cam wyjechał z Yewarry ubiegłej nocy.

Czy zostawił jakąś wiadomość? Jakiegokolwiek polecenia? Czy powiedział, kiedy wraca? Odpowiedź brzmiała: nie, nie i nie. Zostawił jedynie notkę, w której informował, że wyjeżdża. W głosie gospodyni dało się słyszeć zdziwienie - zdziwienie i niewypowiedziane pytanie. Liz zrozumiała je, ale nie zdradziła się z tym.

Typowe zachowanie aroganckiego mężczyzny, jakim go знаła, pomyślała z goryczą. Jak mógł nie wiedzieć, że jednym krótkim spostrzeżeniem sprawił, że poczuła się jak tania panienka? Jak mógł nie wiedzieć, że dla niej oddanie się mężczyźnie, nie oznaczało jedynie seksu, lecz romans po uszy, z dzwonami i fajerwerkami. Taka już była, a nauczyła się tego podczas jednej okropnej lekcji.

Z drugiej strony, czy nie miał prawa się na nią rozgniewać? Czy przesadziła w swoich reakcjach?

A co, gdyby się zgodziła? Czy spędziłaby życie, stąpając po kruchym lodzie, czekając, kiedy ich związek się rozpadnie, a Cam zwróci uwagę w stronę innej kobiety?

Dobrze wiedziała, że prawdopodobnie nigdy nie poczuje się bezpiecznie, nawet jeśli to niedorzeczne. Taka już była. Żadnych półśrodków dla Liz Montrose, pomyślała ze smutkiem. Czy umiała się zmienić?

Nawet jeśli tak, coś ją powstrzymywało - coś, czego nie dało się dokładnie sprecyzować. Chyba że...?

Wpatrywała się przez okno niewidzącym wzrokiem i nagle wymyśliła. Oczywiście! Głęboki niepokój wywoływała kwestia reputacji. Życie z mężczyzną bez ślubu w

przeciwieństwie do solidnego związku małżeńskiego ojca Scout - czy kiedykolwiek czułyby się z tym dobrze?

Objęła się ramionami, desperacko próbując znaleźć pocieszenie i jakieś rozwiązanie. Jeśli nie zgodziła się rozwijać znajomości z Camem Hillierem, to co, do licha, miała zrobić? Odejść? Wyrwać córeczkę ze znanego środowiska? Porzucić Archiego? Znowu mieszkać z matką - w której życiu bez wątplenia zagościł jakiś mężczyzna?

Ale jak mogła zostać...?

Sięgnęła po drugi telefon, z linią na miasto, i zadzwoniła na komórkę Cama. Nie pozostawi tej sprawy w zawieszeniu, lecz żeby nie zakłócać całkowicie życia rodziny, zaproponuje tygodniowe wypowiedzenie.

Połączyła się ze skrzynką głosową i odsłuchiwała nagraną wiadomość informującą, że Cameron Hillier jest nieosiągalny, a w pilnych sprawach należy się kontaktować z Rogerem Woodwardem. Nawet głos nie był jego. Należał do Rogera.

Zacisnęła usta, odkładając słuchawkę. W porządku, pomyślała. Trzeba robić swoje - póki co.

Kilka dni później Cam rozglądał się po swoim biurze w siedzibie Hillier Corporation ze świadomością, że znalazł się w poważnych tarapatkach.

Właśnie podpisał rozstrzygający dokument, wchodząc w posiadanie następnej firmy, i nie dbał o to. Co gorsza, nie cierpiał wewnętrznego przymusu, kążącego mu dodać następne brzemie do swojego życia - życia już i tak przeciążonego i kompletnie niesatysfakcjonującego.

Nie pomylił się, stawiając sobie pytanie - a co, jeśli udręczona Królowa Śniegu okaże się jedyną kobietą, której pragnie, a nie może mieć?

A co, jeśli?

Zamienił się w oszalałego pracoholika. Zamienił się w potwora dla pracowników. Zamienił się.

Rzucił pióro na biurko i zazgrzytał zębami. Musiał istnieć jakiś sposób dotarcia do Liz. Rozpalali się nawzajem pod względem fizycznym - z pewnością uczucie nie było jednostronne - ale jak sprawić, by zauważyła, że powinno ich połączyć o wiele więcej? Jak sprawić, by zauważyła, że jej potrzebuje?

Pomyślał z rozbawieniem, że zagnieździła się w jego sercu prawdopodobnie już od chwili, gdy złapał ją na przechodzeniu przez mur. Tak to się właśnie stało i nie miał na to żadnego wpływu.

Cały dowcip polegał na tym, że kochała Yewarrę i Archiego, a Scout kochała...

Nagle wyprostował się na krześle. Archie i Scout - oni osiągnęli sukces tam, gdzie on przegrał.

Wrócił z gośćmi.

Przyjęcie zorganizowano na poczekaniu, bo w jakiś sposób przeoczono je zarówno w biurze, jak i w terminarzu w Yewarze i zrobiło się już zbyt późno, żeby je odwołać. Liz i pani Preston miały tylko parę godzin, więc skupiły się jedynie na przygotowaniu wszystkiego dla sześciu osób, które planowały zostać na noc.

Co do niezręcznej sytuacji, jaką było stawienie czoła Camowi, nie wiedziała, jak się zachować. Pocieszała się, że przynajmniej pozostanie w cieniu, tak jak zwykła robić podczas pobytu gości.

Na godzinę przed podaniem obiadu dowiedziała się, że i ta chwila wytchnienia została jej odebrana.

Dostała pilny telefon od pani Preston z wiadomością dotyczącą współpracownicy. Otóż Rose, pełniąca rolę kelnerki, skaleczyła się w rękę i nie jest w stanie pracować. Czy Liz mogłaby przekazać Scout na noc pod opiekę Daisy i zająć miejsce Rose?

Liz ciężko westchnęła, ale z głosu gospodyni wywnioskowała, że znajduje się pod wielką presją.

- Pewnie - zgodziła się. - Proszę dać mi pół godziny.

Wzięła prysznic, a następnie przebrała się pośpiesznie w małą czarną i buty na płaskim obcasie. Zawahała się przez moment, stojąc przed lustrem w łazience, po czym zczesła włosy do tyłu, zaplatając w staranny warkocz. Zrezygnowała z makijażu. Pomyślała o zastąpieniu szkieł kontaktowych okularami, lecz zdecydowała, że nie musi popaść w skrajność.

Zgarnęła córkę oraz kilka potrzebnych rzeczy i pobiegła do rezydencji.

Kiedy dotarła do kuchni, pani Preston stała na środku pomieszczenia nieruchoma jak głaz, z zaciśniętymi pięściami i zamkniętymi oczami.

- Pani Preston! Co się stało? - Popędziła do niej po wyłożonej kafelkami podłodze.

- Wszystko w porządku?

Gospodyni ocknęła się i rozluźniła pięści.

- Wszystko w porządku, kochana - odparła. - Jestem nieco zdezorientowana, bo poinformował nas tak późno. I jeszcze ten wypadek Rose.

- Proszę mi tylko powiedzieć, co robić. Obie damy radę! - Chociaż przybrała radosny ton, nagle obleciał ją strach. Stwierdziła jednak, że nie ma sensu, żeby obie okazywały zdenerwowanie. - Jakie pyszne dania przyrządziła pani na wieczór?

Kobieta wyraźnie wzięła się w garść.

- Zupę porową z grzankami, pieczoną kaczkę z kandyzowanymi czereśniami, a na deser czekoladowy pudding. Nakryłam już do stołu. Pokroję kaczkę i postawimy ją z warzywami na kredensie jako szwedzki stół. Czy byłabyś tak dobra i skontrolowała zastawę? Och, i zanieś tartinki, dobrze?

- Tak jest!

Jadalnia prezentowała się uroczo.

Liz dokonała szybkiej kontroli sztućców, kryształów i porcelany, wszystko wyglądało jak należy. Następnie zniosła tace z przekąskami na oszkloną werandę. Przypomniała sobie o serwetkach, znalazła je i pobiegła z powrotem - nie tyle z powodu spóźnienia, co przecucia, że im mniej czasu pani Preston spędzi sama, tym lepiej.

Rozmieściła serwetki i odwróciła się na pięcie, wpadając prosto na Cama.

- Powoli! - wykrzyknął, przytrzymując ją za ramiona, jak to już raz zrobił na rozgrzanym chodniku w Sydney.

- Och! - wyszeptała, po czym praktycznie zaniemówiła, jako że znajome doznania ogarnęły całe ciało i zadrzała.

- Liz? - Zmarszczył brwi, w przeciwieństwie do niej nie okazując, że wywarło to na nim jakiegokolwiek wrażenie. - Co robisz?

Wzięła kilka szybkich oddechów.

- Dobry wieczór. Zastępuję Rose. Miała wypadek, zraniła się w rękę.

Ogarnął spojrzeniem upięte z tyłu włosy i przesunął wzrok w dół, aż do butów na płaskim obcasie.

- Zamierzasz podawać do stołu?

Kiwnęła głową.

- Nie martw się - zapewniła. - Nie mam nic przeciwko temu. Pani Preston naprawdę potrzebuje pomocy i...

- Nie - przerwał jej.

- Nie? - Zamrugwała. - Ale...

- Nie - powtórzył.

- Ale dlaczego? - Wpatrywała się w niego bezradnie.

- Ponieważ weźmiesz udział w obiedzie jako gość.

Zdjął ręce z jej ramion i spokojnie, acz zdecydowanie sięgnął do warkocza i uwolnił włosy od spinek, które następnie uroczyście jej wręczył.

- Jak...? Dlaczego...? - zdenerwowała się. - Nie możesz... Nie mogę tego zrobić! Nie jestem ubrana i w ogóle - przerwała gwałtownie ze skrajną frustracją. Sukienka to najmniejszy z jej problemów!

- Jesteś ubrana. - Przyjrzał się czarnej sukience.

W tym momencie na werandę weszła Daisy, wołając Liz po imieniu.

- Tu jesteś! Och, przepraszam panie Hillier, szukałam Liz, by jej powiedzieć, że sprawdziły się jej prognozy. Archie i Scout mocno śpią.

- Wspaniale - ucieszył się Cam. - Daisy, mam do ciebie wielką prośbę - dodał. - Okazało się, że brakuje nam dziś personelu. Czy mogłabyś pomóc przy obiedzie? Miała to zrobić Liz, ale chciałbym, żeby dołączyła jako gość.

Oczy Daisy niemal wyszły z orbit, lecz natychmiast doszła do siebie.

- Oczywiście, ale... - Popatrzyła trochę niepewnie na przyjaciółkę.

- Wyglądam jak strach na wróble?

- Nie, w ogóle! - odparła lojalnie opiekunka. - Zawsze wyglądasz świetnie. Chodzi o to, że twoim włosom przydałaby się szczotka. Pójdę po nią. - Obróciła się na pięcie i wybiegła, pozostawiając Liz z mieszanką najzwyklejszego osłupienia i niedowierzania na twarzy.

- Dlaczego to robisz? - zapytała.

W jej głosie dało się słyszeć zaskoczenie i wątpliwości.

- Ponieważ jeżeli kiedykolwiek zgodzisz się ze mną zamieszkać, wolałbym, żeby nie plotkowano, że kiedyś pracowałaś jako jedna z moich pomocy kuchennych. Dla twojego dobra, oczywiście. Ja się tym nie przejmuję.

Pięć minut później, z uczesаныmi włosami, lecz pozostawiwszy ostatnią uwagę szefa bez komentarza, została przedstawiona gościom jako zarządca posiadłości.

Przyjęcie, na które się wprosiła, toczyło się zdumiewająco dobrze. Grono gości tworzyły dwie pary w średnim wieku, dynamiczna kobieta, tuż po trzydziestce i prawnik Cama, tym razem nieoficjalnie. Gdy podano kaczkę z błyszczącymi czereśniami maraschino, rozmowa toczyła się już na przeróżne tematy i Liz stopniowo się rozluźniała.

I wtedy konwersacja zeszła na jeden temat - konie. Na hodowlę, wyścigi, kupno i sprzedaż koni. Dzięki zainstalowanemu dla Boba programowi oraz zaangażowaniu w sprawy stadniny rozumiała, o co chodzi. Opisała nawet kilka źrebaków, które urodziły się w ciągu ostatnich tygodni. Wtedy właśnie zdała sobie sprawę, że całe towarzystwo przyjechało obejrzeć najnowszą grupę roczniaków, jakie wyhodowano w Yewarze. Zauważyła również, że wzbudziła ciekawość dynamicznej kobiety o imieniu Vanessa - piękności o złotych włosach ściętych na pazia, pomalowanych na szkarłatno ustach i paznokciach, szczupłej figurze i oczach w kolorze karmelu. Dwukrotnie dostrzegła zaskoczenie malujące się w tych niezwykłych oczach przyglądających jej się badawczo.

I dwukrotnie przyłapała się na rozważaniach: Jeśli nie rozumiesz relacji pomiędzy moją osobą a Camem Hillierem, to nic w porównaniu z mętlikiem, jaki mam ja! Ale co ty tu robisz? Nowa dziewczyna? Nie, to bez sensu. A jednak...

W końcu wieczór zakończył się i wszyscy goście udali się spać.

Liz wycofała się do kuchni, pustej i lśniącej czystością. Westchnęła z ulgą i naląła sobie szklankę wody. Najwyraźniej Daisy zadziałała dziś w kuchni jak balsam na skołataną nerwy pani Preston.

Liz wzięła wodę i wyszła kuchennymi drzwiami na zewnątrz. Spacerowała po ogrodzie ziołowym, aż doszła do krawędzi doliny.

Teren stopniowo się obniżał, ale chronił go niski żywopłot. To miejsce świetnie nadawało się do parzenia w gwiazdy. Stała tu nawet ławka. Opadła na nią i zachwycona utkwiała spojrzenie w niebiańskim firmamencie nad głową. Tak zastał ją Cam.

- To jedno z moich ulubionych miejsc - mruknął, siadając obok. - Szukałem cię.
Odstaw szklanę - poinstruował.

Zrobiła, co kazał, a on wręczył jej kieliszek szampana.

- Ledwo spróbowałaś wina podczas obiadu, a kieliszek bąbelków na zakończenie dnia orzeźwia. Na zdrowie! - Dotknął jej kieliszka swoim.

- Na zdrowie - powtórzyła, ale w jej głosie wyraźnie brzmiało przygnębienie. Tak się też czuła. Przygnębiona, zmęczona i całkowicie skonsternowana zachowaniem Cama Hilliera.

- Co się dzieje? - zapytał.

Upiła duży łyk.

- Brr... - Potrząsnęła głową. Nagle poczuła, jak rozwiązuje jej się język. - Dzieje? Nie wiem. Nie mam pojęcia. Gdybyś mnie zapytał, o co tu chodzi, nie potrafiłabym ci powiedzieć. Nie pojmuję tego wszystkiego. Dręczy mnie niepokój. To się dzieje - zakończyła.

Zaśmiał się cicho.

- W porządku, powiem ci, co się dzieje. Podczas ostatniego spotkania wdaliśmy się w utarczkę słowną.

Z jej ust wyrwał się zduszony dźwięk.

Czekał, aż coś powie, ale ponieważ milczała, ciągnął:

- Tak, w wojnę na słowa po, powiedziałbym, czarującym interludium, wywołaną niefortunną uwagą która cię wzburzyła. Ty ruszyłaś do domu, tymczasem ja w środku nocy ruszyłem w drogę powrotną do Sydney, gdzie przez kilka dni pielęgnowałem swój gniew. - Przerwał, a potem kontynuował z nieoczekiwaną nutą skruchy: - Rzadko kiedy ktoś mi odmawia, co wyjaśnia mój brak manier i czystą złośliwość, gdy już się to zdarzy. Jak sądzisz?

- Ja... - Odkryła, że nie może wydusić słowa.

Samotna łza spłynęła jej po policzku. Zlizwała słoną kroplę z górnej wargi.

- Chcę się dowiedzieć - wyjaśnił po dłuższej chwili - czy będę w stanie naprawić stosunki między nami.

- Nie mogę... Nie mogę się do ciebie wprowadzić - oświadczyła głosem ochryplym z emocji. - Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

- Dlaczego nie?

- Ja... - zawahała się. Odetchnęła zapachem mięty z ogrodu. - Czułabym, że to nie w porządku. Tak czy owak... - umilkła bezradnie.

- Liz, z pewnością do tej pory musiałaś zauważyć, że wywierasz na mnie dość niezwykłe wrażenie?

- Nie widać tego po tobie - wymusnęło jej się. - Zastanawiałam się nawet, czy przywiozłeś tu Vanesę, żeby... mi dokuczyć.

- Chociaż pochlebia mi twoja zazdrość o Vanesę - zaczął sucho - jest ona szczęśliwą żoną odnoszącego sukcesy dżokeja, który rzadko udziela się towarzysko z uwagi na walkę z wagą.

- Przepraszam - wymamrotała.

- Napij się jeszcze - doradził. - A co byś zrobiła, gdybym ci powiedział, że poza pragnieniem wbicia szpilek w podobiznę Królowej Śniegu, nie mogłem spać? Zachowywałem się potwornie wobec pracowników. Ciągle wspominałem przyjemność, z jaką trzymałem cię w ramionach. Wciąż rozbierałem cię w myślach. Nawiasem mówiąc, jak ty spędziłaś tych kilka dni?

Zaschło jej w gardle, bo przypomniała sobie swoje rozterki.

- Miałam... sama miałam huśtawkę nastrojów - przyznała ledwo dosłyszalnie.

- To dobrze.

- Dobrze? - Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Przykrością napawa mnie myśl, że cierpię sam.

Pod wpływem tego stwierdzenia zachichotała cicho, przez łzy, niemniej była to oznaka rozbawienia.

- Jesteś niepoprawny - mruknęła i z westchnieniem czegoś, co można uznać za rezygnację, położyła głowę na jego ramieniu. - Co my mamy z tym zrobić? - W jej głosie brzmiał prawdziwy popłoch. - Nie wprowadzę się do ciebie.

- Znalazłem inne wyjście. - Sięgnął po jej rękę i splótł swoje palce z jej. - Zostań moją żoną.

Zdrętwiała z niedowierzania.

- Nie mogę tak po prostu za ciebie wyjść!

- Wymieniasz wciąż rzeczy, których nie możesz zrobić - oznajmił sucho. - Po-
mówmy o tym, co możesz zrobić!

Chciała poderwać się i uciec od niego tak daleko, jak tylko się da, ale złapał ją w
pasie i posadził z powrotem. Nie cofnął rąk.

- Nie kłóćmy się teraz o to - polecił chłodno. - Kiedyś zrobiłaś uwagę na temat
dwóch rozsądnych dorosłych. Tego nam teraz potrzeba. Trochę zdrowego rozsądku. Za-
cznijmy od początku.

Przez chwilę obserwował, jak jej usta otwierają się i zamykają, lecz nie wyszedł z
nich żaden dźwięk, więc kontynuował:

- Potrzebuję matki dla Archiego. Ty potrzebujesz ojca dla Scout i unormowanego
stylu życia. Nie znajdziesz lepszego środowiska niż tutaj.

Liz wpatrywała się w niego oszołomiona.

- I pozostała kwestia twojej osoby. - Drgnęła, więc zacieśnił uścisk na jej talii. -
Posłuchaj - ostrzegł. - Zadomowiłaś się w Yewarze, przywykłaś do tutejszego życia, jak-
byś sama się tu urodziła. Jeśli nie kochasz tego miejsca, to dobrze to ukrywasz. Udawa-
łaś? - zapytał krótko.

- Nie - wyszeptała.

- A Archie?

- Kocham Archiego - powiedziała w udęcie. - Ale...

- A co z nami? - Wzrokiem błędził po jej twarzy, a jego oczy zdawały się poważ-
niejsze niż kiedykolwiek. - Choć raz bądźmy brutalnie szczerzy, Liz. Nie czeka nas
przygoda na jedną noc. W przeciwnym wypadku nie cierpielibyśmy tak przez te dwa sza-
lone miesiące. A dały nam nieźle w kość, prawda? Czułem się jak na powolnych tortu-
rach.

- Tak - zgodziła się w końcu. - O, tak.

Rozluźnił wreszcie ręce na jej talii i wziął ją w ramiona.

- Powinniśmy chyba zniknąć na parę dni, żeby przyzwycząić się do tego pomysłu.
Wyjechałabyś ze mną na trochę?

- A co z dziećmi?

- Wspomniałem tylko o kilku dniach. Dla Archiego to nie pierwszozna. Czy twoja matka zajęłaby się tu Scout?

- Cóż...

- Cóż...? - powtórzył po dłuższej chwili.

- Gdybym... zgodziła się - zaczęła z wahaniem - nie mogłabym ci niczego obiecać. Byłeś dla mnie bardzo dobry - usłyszała swoje słowa - więc...

- Liz - jego głos zabrzmiał nagle szorstko. - Zrób to lub nie, ale nie kieruj się wdzięcznością.

Wyprostowała się gwałtownie.

- Przecież jestem ci wdzięczna!

- W takim razie wycofuję ofertę.

- Cam, jesteś nie tyle niepoprawny, co nie do wytrzymania - powiedziała bez ogródek.

- Nieprawda. Przyznaj uczciwie, Liz. Pragniemy się i wdzięczność nie ma z tym nic wspólnego.

- Masz rację - wyszeptała w końcu.

Kurczowo ścisnął jej rękę.

- W takim razie ponawiam propozycję.

- Dziękuję. Ja... pojedę.

Uwolnił dłoń i otoczył jej plecy ramieniem, Zamknęła oczy, poddając się ciepłu, które przepływało między nimi. W tym samym momencie uświadomiła sobie, że zrobiła pierwszy krok na nieznaną ścieżkę, ale nie potrafiła przeciwstawić się Camowi.

Niemal przytłoczona natłokiem wrażeń, znalazła schronienie w rzeczach przyziemnych.

- Trochę się obawiam o panią Preston. Dziś wieczorem doprowadziła się do strasznego stanu.

- Załatwię dla niej kogoś do pomocy, zanim wyjedziemy. Nie martw się. Jesteś gorsza niż Archie. - Wsunął palce pod jej brodę i popatrzył w oczy. - Właściwie - wy-

mruczał - o nic się nie martw. Wszystkim się zajmę. - To powiedziawszy, zaczął ją całować.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Trzy dni później zabrał ją na Wielką Rafę Koralową. Zdradził tylko tyle, reszta miała być niespodzianką.

Polecieli samolotem na Hamilton, w pobliżu wyspy Whitsunday, w stanie Queensland. Z początku Liz milczała, dopóki nie przykrył jej dłoni swoją.

- Dzieciaki świetnie sobie poradzą.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Skąd wiedziałeś, że o nich myślałam?

- Łatwo zgadnąć - powiedział kwaśno. - Chyba, że żałujesz całego wyjazdu?

- Nie...

Zmrużył oczy, wyczuwając lekkie wahanie w jej głosie, lecz nie naciskał...

Odkrycie, że nie zostają na wyspie, przyszło wraz z pytaniem.

- Masz kapelusz? - zapytał, przystając przed sklepem z boskimi nakryciami głowy.

- Na otwartym morzu potrzebujesz kapelusza.

- Na otwartym... Nie, nie znalazłam żadnego, który dałby się upchnąć w walizce.

Na otwartym morzu? - powtórzyła.

- Przekonasz się. Wybierzmy jakiś.

Spędziła więc pół godziny na przymiarkach, pół godziny z dwiema młodymi ślicznymi ekspedientkami rumieniącymi się i chichoczącymi pod wpływem uroku i aparycji Camerona Hilliera.

Ale wszystko odbywało się w atmosferze beztroski i zabawy i Liz złapała się na tym, że też czuje się beztrosko, jak gdyby całe napięcie spowodowane trudnymi decyzjami ulatniało się z jej organizmu pod wpływem wakacyjnego nastroju wyspy.

Wybrała słomkowy kapelusz z szerokim rondem i włożyła go po wyjściu ze sklepu. Zatrzymali się w kawiarence na mrożoną kawę i podzielili się ciastem; smakowało

niebiańsko. Następnie, trzymając Liz za rękę, Cam zaprowadził ją na przystań, gdzie, przywiązany do pomostu, czekał katamaran o nazwie „Leilani”.

Był szczytem luksusu.

Liz wpadła w zachwyt, jeszcze zanim zobaczyła wnętrze. Na pokładzie młody mężczyzna, Rob, ubrany w biel, powitał ich salutem i zaprowadził Liz do kabiny. Wrócił na górę i Liz słyszała, jak rozmawiał z Camem, lecz nie rozróżniała słów. Gdy wyszła z powrotem na pokład, narada już się zakończyła i ku jej zdziwieniu młodzieniec, jak przypuszczała kapitan, zeskoczył na pomost, a Cam uruchomił silnik i odwiązał liny.

- On nie jedzie? - zapytała.

Cam spojrział przez ramię, wyprowadzając katamaran tyłem z przystani.

- Nie.

- Potrafisz pływać łodzią tej wielkości?

- Liz, ja się praktycznie wychowałem na łodziach. - Posłał jej rozbawione spojrzenie. - Oczywiście, że potrafię.

Przygryzła wargę.

Tym razem otwarcie się zaśmiał.

- Robisz się coraz bardziej jak Archie - zakpił zgrabnie zawracając „Leilani” wokół swojej osi i kierując w stronę wyjścia z portu. - Pokażę ci, jak się żegluje, ale nie dzisiaj. Dobrze? Muszę się skupić przez kilka minut - dodał, gdy otrzymali zgodę na wyjście z portu.

- Dokąd płyniemy?

- Na plażę Whitehaven - wyjaśnił. - Dotrzemy akurat na zachód słońca. Nic się nie może z tym równać.

Miał rację.

Przekonawszy się, że kotwica trzyma, wyłączył silniki oraz wszelkie inne systemy, zszedł za Liz na dolny pokład i wziął ją w ramiona.

- Ostatnie dni nie należały do łatwych - powiedział cierpko.

Kiwnęła głową, zgadzając się z nim. Umówili się, że w Yewarze będą utrzymywać stosunki służbowe zarówno przed personelem, jak i przed dziećmi, a nawet przed matką Liz.

- To nie dotyczy nikogo innego poza nami - oznajmił. - Powiemy im, że jedziemy w podróż służbową związaną z nabyciem nieruchomości.

- Prawdopodobnie i tak umierają teraz z ciekawości - odparła. - Nie dzieci, lecz...

- Wolałabyś, żebym całował cię, kiedy tylko przyjdzie mi ochota? - odciął się.

Zarumieniła się ogniście i potrząsnęła głową.

- Tak myślałem - zapewnił z diabelskim błyskiem w oku.

Chwycił ją od tyłu w pasie i zakręcił dookoła.

- Odczuwam bolesną potrzebę - oświadczył.

Z uśmiechem rozluźniła się w jego ramionach.

- Nie tylko ty.

Objął ją i z ustami przy kąciku jej ust zapytał:

- Nie masz ochoty pokłócić się ze mną lub nazwać mnie zmorą?

Parsknęła śmiechem, ale udało jej potwierdzić ze smutkiem:

- No i gdzie się to wszystko podziało?

- Cała ta wrogość? - Zanurzył nos w jej włosach i przesunął dłonie na biodra.

- Sądzę, że ten dziwny nastrój wziął się z... to znaczy, bardzo trudno odmówić facetowi z taką łodzią!

Prychnął kpiąco.

- Mam propozycję. - Pocałował ją lekko. - Przebierz się w coś wygodniejszego, a ja w tym czasie błyskawicznie przygotuję tradycyjne w tej części świata wieczorne drinki.

Oderwała się od niego i zlustrowała dzinsy i bluzkę, w których odbywała podróż.

- Chyba tak zrobię. Jest ciepło. A ty?

- Zamierzam wskoczyć w jakieś szorty. Lepiej się pospiesz. Słońce porusza się szybko, kiedy postanawia udać się na spoczynek.

- Już idę! - Ścisnęła jego palce, po czym udała się do swojej kabiny.

- Długa sukienka! Musisz zabrać długą sukienkę - dobitnie stwierdziła Mary na wieść, że córka wybiera się na Hamilton, nieważne czy służbowo, czy nie. - Stanowią ostatni krzyk mody. Przywiozę ci jakąś!

Pomimo krótkiego terminu, jak powiedziała, tak zrobiła. Uszyła prześliczną zwiewną kreację w bieli bez ramiączek, z wbudowanym stanikiem, a do tego pasujący biało-mandarynkowy szal do eleganckiego udrapowania wokół szyi.

Liz nałożyła ją, odkrywając, że śliczny fatalaszek wywołuje dziwny efekt. Czowała się w nim lekka jak piórko. Czowała się zalotnie i młodo, i pociągająco.

Świadoma wędrówki słońca, z bosymi stopami ponieważ wydawały się pasować do scenerii - ruszyła lekko po schodkach i przez salon wydostała się na tylny pokład.

Cam czekał na nią, przebrany w granatowe szorty i biały podkoszulek. Siedział z nogami opartymi o burzę. Na stoliku obok stały dwa białe koktajle przyozdobione papierowymi parasolkami. Była też cynowa taca z tartinkami z wędzonym łososiem przybranymi serkiem śmietankowym i kaparami.

- Podziwiam pana, panie Hillier! - Zaśmiała się z rękami na biodrach. - Nie miałam pojęcia, że lubi się pan zajmować domem.

Obrócił się, żeby na nią spojrzeć i tym razem to jemu zabrakło z wrażenia tchu. Przeszło mu przez myśl, że nigdy dotąd nie wyglądała tak uroczo: smukła, tryskająca witalnością i absolutnie zachwycająca...

Wstał.

- Wyznam prawdę. Sam zrobiłem koktajle, ale tartinki wraz z całym wyżywieniem zorganizował Rob. Ty natomiast - wyciągnął do niej rękę - wyglądasz olśniewająco.

Zaśmiała się, gdy przyciągnął ją do siebie.

- Ja również wyznam prawdę. Czuję się olśniewająco. To znaczy, nie mówię, że wyglądam, tylko czuję...

- Wiem, o co ci chodzi. - Pochylił głowę i pocałował ją. - No, dobrze, usiądź. Na zdrowie! - Wręczył jej drinka. - Za zachód słońca.

- Za zachód słońca! - powtórzyła i oczarowana zapatrzyła się w białą plażę i barwy nieba, podczas gdy słońce zniżało się coraz bliżej horyzontu wyznaczonego linią drzew.

W okolicy zacumowało kilka innych łodzi i gdy wszystkie niesamowite kolory wymalowane przez zachód słońca zniknęły z nieba, zabłysły światła kotwiczne. Cam włączył swoje i poszedł nalać następne Mai Tai.

Liz pozostała na pokładzie, ciesząc się ciepłym, tropikalnym powietrzem i ciszą. Zapadała spokojna noc. Słysząc było jedynie chłopot wody rozbijającej się o kadłub.

- Można się uzależnić od takiego życia - powiedziała z szerokim uśmiechem, gdy przyniósł drinki. - Niespodziewanie czuję się młoda.

- Jesteś młoda. - Przysunął krzesło, tak że siedzieli, stykając się kolanami.

Pochylił się i zaczął się bawić końcówką jej szala.

- Prawdę mówiąc, dzięki tobie to ja się czuję młodo.

Zaskoczył ją.

- Nie wyglądasz staro. Ile masz lat?

- Trzydzieści trzy - skrzywił się. - Dzisiaj kończę.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wzruszył ramionami.

- Urodziny pojawiają się i znikają. Przystają mieć znaczenie, gdy zaczynasz się starzeć. Tak czy inaczej, co byś zrobiła?

- Trudno wymyślić prezent dla milionera. Przynajmniej dałabym ci kartkę.

- Żebym ją sobie postawił na kominku? - Rozbawiła go.

- No, nie - zgodziła się z żalem. - Dobrze, oto moja ostateczna propozycja. - Pochyliła się i lekko go pocałowała. - Wszystkiego najlepszego, panie Hillier!

- Dziękuję, panno Montrose. Mam nadzieję, że to tylko przystawka - odparł cierpko.

Zadrżała na widok drgającego mięśnia na jego szczęce; już wcześniej widziała taką reakcję. Zorientowała się, że pod beztroską zabawą czai się rosnąca fala pożądania.

Spięła się lekko. Czy była gotowa na nieuniknione?

Nie naciskał. Czy zauważył tę nieco nerwową reakcję, czy nie, tego nie wiedziała. W odpowiedzi musnął wargami jej usta i wręczył koktajl.

- Dokończ drinka. Zaraz czeka nas prawdziwa uczta. Jedli, rozmawiając o błahostkach, a kiedy zapadała cisza, nie czuli przymusu, żeby ją wypełnić.

- To było wspaniałe - westchnęła, gdy już sprzątnęli po kolacji.

- Kawy?

- Poproszę. Nie wierzę własnym oczom!

Popatrzył pytająco.

- Już jedenasta.

- Prawie czas na Kopciuszka. Usiądź w środku. Robi się trochę chłodno. Przyniosę kawę.

Położył śmietankę, cukier i łyżeczki na tacy wraz z kubkami i dzbankiem z kawą, po czym przeniósł wszystko na stół. Nalał aromatyczny napój i podał jej kubek.

- Poczęstuj się.

- Cam, czy jesteś... czy ty... czy jesteś szczęśliwy? Zadowolony ze swojego życia?

Dodał cukru i zamieszał.

- Żałuję kilku rzeczy. Oprócz Archiego i Narelle nie pozostali mi już żadni bliscy krewni. Nikt, kto mógłby skorzystać z owoców mojej pracy, jak to mówią. Nikt nie śpiewa „sto lat” - dodał żartobliwie, unosząc dłoń. - Naprawdę mi na tym nie zależy, ale czasami bardzo żałuję, że rodzice nie dożyli tej chwili i nie mogli tego wszystkiego zobaczyć. - Rozejrzał się. - I Amelia.

- Zatem... - zaryzykowała - mówisz, że... - przerwała, zbierając myśli.

- Że czasem chciałbym zatrzymać świat i wysiąść? Zastąpić czymś Hillier Corporation? Tak.

- Co... co cię więc powstrzymuje? - wyszeptwała.

- Liz. - Odwrócił od niej wzrok. - To nie takie proste. Zatrudniam wiele osób. Nie wiedziałbym, co robić z czasem.

Dostrzegła w nim jakąś zmianę. W oczach i w zmarszczkach na twarzy odbijały się oznaki wewnętrznego napięcia.

- Zapewne mam taką stronę charakteru, która nie pozwala mi siedzieć z założonymi rękami - podsumował. - Chyba taki już jestem.

- A może nie - powiedziała w końcu głosem nabrzmiałym z emocji. - Może tak ci się ułożyło życie - skrzywiła się. - Tak, jak mnie.

Już miał to skomentować, gdy rozległ się brzęczący dźwięk, ożyła jakaś niewidoczna maszyna w sterówce.

Spojrzała na niego pytająco.

- To faks pogodowy - odparł z lekkim zmarszczeniem brwi. - Automatycznie informuje o wszelkich zmianach w prognozie.

- Idź i sprawdź. Wiem, że nie przestaniesz się martwić, dopóki tego nie zrobisz.

Przeczesał ręką włosy i wstał.

- Tak zrobię. W przeciwieństwie do tego, co sądzisz o mnie jako o kierowcy, jestem bardzo rozważnym żeglarzem. Zaraz wracam.

Zniknął jednak na o wiele dłużej. Czekaając, Liz ułożyła się w rogu kanapy i podwinęła pod siebie nogi. Zasnęła, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Cam wrócił z kartką i wiadomością, że jutro muszą przybić gdzie indziej z powodu ostrzeżenia o silnym wietrze. Umilkł, widząc, że śpi. Zapomniana kartka opadła na stół, a on zapatrzył się w dziewczynę.

Stłumił śmiech. Odsunął stolik i pochylił się nad nią. Mruknęła coś cicho, ale nie obudziła się, gdy niósł ją do kabiny.

Ułożył ją ostrożnie po jednej stronie podwójnego łóżka i przykrył lekką jak piórko kołdrą. Przez ponad minutę stał tam, patrząc na nią, po czym szepnął:

- Dobranoc Kopciuszku.

Liz spała spokojnie przez kilka godzin, a potem znalazła się w mackach koszmaru. Obudziła się, nie wiedząc, gdzie się znajduje, z zatrważającym przekonaniem, że straciła córkę.

- Liz? Liz! - Zabłyśło światło lampy i oto nad nią pochyłał się Cam, ubrany jedynie w spodenki od piżamy.

- Co się stało?

- Zabrali mi Scout - wydyszała, z trudem łapiąc oddech. - Gdzie ja jestem?

Usiadł na łóżku i objął ją.

- Nie zabrali ci Scout. Jesteś cała i zdrowa na łodzi. Przypomnij sobie „Leilani” i plażę Whitehaven. Pamiętasz zachód słońca?

Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydusić słowa.

- Scout śpi bezpiecznie w domu w Yewarze z Daisy i Archiem, i twoją matką.

Bardzo powoli wyraz przerażenia zaczął ustępować z jej oczu. Przymknęła je w przyplywie ulgi.

- Och, dzięki Bogu - wyszeptała. Podniosła gwałtownie wzrok. - Na pewno?

- Na sto procent - powiedział z twarzą w jej włosach. - Na sto procent.

- Nie puszczaj mnie, proszę, nie puszczaj mnie. wyszeptała. - Nie zniósłabym, gdybym straciła moją małą dziewczynkę.

- Nie stracisz jej - obiecał. - Zaczekaj. - Rozplątał kołdrę i położył się z Liz w objęciach, nakrywając ich oboje. - Już. I jak teraz?

Przysunęła się do niego, czując, jak resztki koszmaru i dezorientacja ustępują pod wpływem spokojnej siły płynącej od ciepłego, masywnego ciała oraz zaciskających się wokół niej ramion.

- Cudownie. - Oparła policzek na jego ramieniu. Wciąż chcesz się ze mną ożenić?

- Tak. Ale...

- Zatem, proszę, zrób to. Nie przyjmuj ode mnie tych nonsensownych wymówek. Czasami upieram się bez konkretnego powodu. Nie pozwól mi odejść. Och! Wciąż mam na sobie ubranie!

- Liz, przestań.

Przytrzymał ją, zaciskając usta, aż uspokoiła się nieco, chociaż nadal od czasu do czasu przechodził ją dreszcz.

- Tak, wciąż masz na sobie ubranie - powtórzył cicho. - Nie wykorzystuję śpiących dziewczyn. I uważam, że w tej chwili nie powinniśmy podejmować żadnych ważnych decyzji. Jesteś przemęczona, zdenerwowana i przestraszyłaś się. - Uciął jej protesty, odsuwając się nieznacznie.

Jedna rzecz stała się dla niej jasna jak słońce. Niezależnie od tego, czy zostałaaby żoną Cama Hilliera, stanowił on odpowiedź na jej modły. Przez wzgląd na nią, a nie Scout. Czowała się przy nim bezpieczna, a przy tym pociągał ją jak żaden inny mężczyzna...

- Zamierzasz cnotliwie dzielić ze mną łóżko? - spytała. - Ja raczej nie dam rady. Zapewne przekroczę granicę. Zawsze możesz potem twierdzić, że cię uwiodłam, chyba że... chyba że tego nie chcesz.

Z trudem nabrał powietrza.

- Nie chcę? - wycedził. - Gdybyś tylko wiedziała, Kopciuszk...

- Kopciuszk? - zdumiała się.

- Niewiele brakowało do północy, kiedy kładłem się do łóżka.

- Cholera! - wyrwało jej się.

Uniósł pytająco brew.

- Rozważałam... cóż, w pewnym momencie zastanawiałam się nad zostaniem twoim prezentem urodzinowym. Gdyby wszystko się odpowiednio ułożyło. To znaczy, nie miałam konkretnego planu, raczej coś w rodzaju ogólnego zamysłu. - Ucichła, myśląc: „Boże, dopomóż! To prawda”.

Nie odzywał się tak długo, że przygryzając wargę, odwróciła wzrok. W końcu wykrztusił:

- Liz, nie jestem ze stali.

- Ja też nie - szepnęła ledwo dosłyszalnie, kładąc dłoń na jego policzku. - Chcę, żebyś mnie obejmował i całował. Chcę czuć się pożądana. Chcę ci pokazać, jak bardzo cię pragnę. Wiesz, kiedy po raz pierwszy miałam przy tobie gęsią skórkę? Kilka dni po tym, jak zaczęłam dla ciebie pracować, potknęłam się na chodniku, a ty mnie złapałeś. Pamiętasz?

Czekała, a Cam zmrużył oczy i dojrzała, jak rozbłysło w nich zrozumienie.

- Właściwie walczyłam z uczuciem dłużej niż ty. I co ty na to?

Jęknął, przyciągając ją bliżej.

- Nie mów potem, że się nie wzbraniałem - ostrzegł, zanurzając twarz w jej włosach. - Wiedziałem, że tak będzie - powiedział Cam.

- Jak?

Leżeli zwróceni twarzą do siebie. Kołdra dawno poleciała na podłogę, razem z sukienką i figami, jedyną częścią garderoby, którą włożyła pod spód.

Przeciągnął palcami w dół, pomiędzy jej piersiami.

- Że twoja skóra będzie tak jasna i jedwabista, a ty szczupła i elegancka, i przejmująco piękna.

Chwyciła jego dłoń i podniosła do ust. - A ja mniej więcej podejrzewałam, że możesz uchodzić za kwintesencję dziewczęcych marzeń. A jeżeli chodzi o nie - pocałowała

znowu jego dłonie - uwielbiam je. Czasami rozbijały moje opanowanie w pył. Tak jak teraz.

- W ten sposób? - Zabrał rękę i przeciągnął palcami wzdłuż jej boku, aż do krzywizny biodra.

Przygryzła wargę, gdy zabłąkały się na udo, a następnie, zgłębiając jej ciało, pogłaskały ją w jeszcze intymniejszej pieśczoście.

- Tak, w ten sposób. - Westchnęła i zaplotła ramiona na jego karku.

Przepląły przez nią tysiące cudownych doznań.

- Cam... - szepnęła.

Opuściła ją cała chęć do żartów, bo ciałem i duszą pochłaniało ją to, co jej robił, bo wiedziała, że pragnął jej tak bardzo, jak ona pragnęła jego.

Przesunęła dłonią w dół linii ciemnych sprężystych włosów, tak jak wyobrażała to sobie kilka dni temu. Przycisnęła piersi do jego torsu i wsunęła nogę między jego nogi.

Ogarnęła ją radość, gdy tak dotykali, smakowali i obejmowali się nawzajem. Ostateczne zespolenie niemal wycisnęło jej łzy z oczu. Rozkosz wezbrała aż do gwałtownego wybuchu. On jednak trzymał ją, prowadząc z całą swoją finezją i kontrolowaną siłą, które, tak jak przypuszczała, wykazał w tym akcie. Leżąc obezwładniona rozkoszą, miała pewność, że nie jest sama. Czowała się otoczona opieką...

- Mmm - wymruczał w końcu, nieruchomiejąc. - Czasem warto czekać.

Liz oparła rękę na jego ramieniu i pocałowała go w szyję.

- To było... zbyt piękne, by wyrazić słowami.

Palcem obrysował jej usta.

- Mógłbym spróbować. Ty, moja jednocześnie słodka, kąśliwa i zachwycająca Liz, stworzyłaś dla mnie kawałek nieba na ziemi.

- Dziękuję. - W jej oczach czaiło się rozbawienie. - Ale nie dałabym rady bez ciebie.

Poczuła, jak wstrząsnął nim wybuch śmiechu.

- Nie?

- Nie. Ponieważ byłam całkowicie na pana łasce, panie Hillier.

- Nie tak bardzo, panno Montrose. No - poprawił się - podzielmy się zasługą.

- Zgoda - powiedziała z uroczystą powagą, lecz ni stąd, ni zowąd spoważniała, gdy wróciło do niej, co powiedziała na temat małżeństwa.

- Liz?

Podniosła wzrok i zauważyła, że on też spoważniał i że przepastne głębie błękitu patrzą z niemym pytaniem. Przez chwilę na jej wargach zadrżały słowa wyznania: „Kocham cię z całego serca, musiałam zakochać się dawno temu, na przekór wszystkiemu, co sama mówiłam”.

Przez resztki strachu zrodzone w przeszłości trwała w milczeniu. Nic na siłę, pomyślała. Tak, znowu oddała się mężczyźnie. Dla niej akt ten oznaczał o wiele więcej niż seks, ale czy nie powinna póki co ochraniać siebie, nie dzieląc się z Camem tą informacją?

- To nic - wyszeptała, wtulając twarz w jego ramię.

Spędzili jeszcze dwa dni na „Leilani”.

Następnego ranka przenieśli się do skalistej zatoki z turkusową wodą i cudowną rafą.

Nie rozmawiali na temat małżeństwa.

Zarówno mimowolna niechęć Liz do poruszenia tego tematu, jak i powód, dla którego Cam milczał, stanowiły dla niej zagadkę. Właściwie parę razy przyłapała go, jak ją obserwuje z niepokojem w oczach, jak gdyby nie potrafił jej rozszyfrować. Za każdym razem czuła dreszcz niepokoju. Był jednak takim charyzmatycznym towarzyszem, że szybko zapominała o obawach i po prostu cieszyła się z przebywania z nim na pięknej łodzi.

I wtedy wszystko puściło w szwach...

Ni stąd, ni zowąd Cam zagadnął:

- Cumujemy tu dzisiaj sami.

Odoczywali na leżakach na tylnym pokładzie. Liz rozejrzała się.

- Rzeczywiście. - Usiadła prosto, marszcząc lekko czoło. - Powiedziałeś to w osobliwy sposób.

Przesunął okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy.

- Mam taką fantazję. Można powiedzieć, że dotyczy syren.

- Co brak innych łodzi ma z tym wspólnego?

- Marzę, żeby popływać z tobą nago.

Zaskoczył ją.

- Ale my nie jesteśmy syrenami... czy też trytonami - zwróciła uwagę.

- Tym lepiej, doprawdy.

- Cam... - nie dokończyła.

- Problem w tym, że bardzo chciałbym zobaczyć twoje nagie ciało w wodzie.

Spojrzała na siebie.

- Moje bikini nie zakrywa zbyt dużo.

- A jednak...

Popatrzyła na zatokę. Wyglądała niezmiernie zachęcająco, lśniąc pod bezchmurnym niebem i gorącym słońcem. Dlaczego by nie?

Podniosła się bezszelestnie, zrzuciła bikini i po drabince zeszła do schodni, skąd zanurkowała, zanim Cam podniósł się z leżaka.

- Wchodź - zawołała, wynurzając się na powierzchnię. - Jest cudownie.

Zrobiło się jeszcze cudowniej, gdy zanurkował obok niej i wziął ją w ramiona.

- Dobry pomysł? - zapytał.

- Doskonały - przyznała. - Czuję się jak syrena - oznajmiła, kładąc się na plecach, podczas gdy jego ramię podtrzymywało ją w wodzie.

- Wyglądasz jak syrena. - Przeciągnął wolną ręką po koniuszkach jej piersi, po czym objął ją dłońmi w pasie i uniósł.

Zachichotała, z rękami wspartymi na jego barkach, kapiąc na niego wodą. Następnie uwolniła się i odpłynęła.

- Pływasz jak ryba - zawołał, zrównując się z nią. - A kochasz się jak syrena...

Wracajmy na łódź.

- Teraz?

- Tak, teraz - oświadczył zdecydowanie.

Posłusznie zmieniła kierunek i popłynęła w kierunku łodzi.

Wszedł za nią po drabince i gdy znaleźli się znów na pokładzie, wziął ją na ręce i, ociekającą wodą, zabrał do swojej kabiny, gdzie położył na łóżku.

- Cam - zaprotestowała - zamoczymy koldrę.

- Nieważne - uciał, kładąc się obok i biorąc ją w ramiona. - Tego, co tak rozpaczliwie chcę z tobą zrobić, nie należy wystawiać na widok publiczny - powiedział, wciągając ją na siebie.

Liz nagle zabrakło powietrza, a głos stracił opanowanie, bo Cam zakołysał jej biodrami, poruszając się pod nią.

- Nie wiem, czy na określenie tego istnieje odpowiednie słowo. To jest... - przerwała i zamyśliła się. - Sensacyjne - jęknęła.

Zabrał ręce z bioder i przebiegł nimi po jej włosach, wywołując deszcz kropel. Oboje wybuchnęli śmiechem, po czym gwałtownie spoważnieli, całując się i ocierając o siebie w przemożonym pragnieniu.

Gwałtownie osiągnęli spełnienie, które sprowadziło ich na ziemię zdyszanych. Przynajmniej Liz poczuła się oszołomiona siłą pożądania. Wciąż oddychała urywanie, gdy, ciasno objęci, leżeli obok siebie.

- Skąd to się wzięło? - zapytała niepewnie, naciągając na nich prześcieradło.

Przyglądził jej włosy.

- Od ciebie. Jako od syreny.

- Nie od ciebie? Jako od trytona?

- Nie wiem, czy w ogóle istnieje coś takiego.

- Mimo wszystko, naprawdę tak myślisz? O mnie jako o syrenie? Już drugi raz mnie o to, no, nie tyle oskarżasz, co... - zawahała się - coś w tym stylu.

Poczuła ruch, gdy wzruszał ramionami, ale nie skomentował. Właściwie zdawał się nieco zaabsorbowany. Ze sposobu, w jaki mierzył ją wzrokiem odniosła wrażenie, że na coś czekał...

Uniosła się, oparła łokieć na poduszce, a głowę podparła ręką.

- Czy coś się stało? - Przesunęła opuszkami po gładkiej skórze jego ramienia.

Popatrzył nią pustym wzrokiem. Po chwili oznajmiła

- Miałaś rację. Nabałaganiliśmy. Zmieńmy pościel. Lecz najpierw weź prysznic. -

Odrzucił prześcieradło i wstał.

Poczuła się, jakby weszła na pole minowe. Przez chwilę, gdy wyjmował ubrania z szafki, wbiła wzrok w jego silne plecy, a następnie wstała i prześlizgnęła się do własnej kabiny. Zamknęła za sobą drzwi, czego normalnie nie robiła.

Nie sprzeciwił się.

W milczeniu pościelili łóżko. Napięcie między nimi było wprost namacalne.

Jak? Dlaczego? - zastanawiała się.

Nie miała możliwości uzyskać odpowiedzi na te pytania, bo odezwał się telefon, który zawsze leżał gdzieś blisko. Dzwonił Roger. Z miny Cama i kilku zadanych do aparatu pytań wywnioskowała, że wydarzyło się coś poważnego.

Złapała się za szyję.

- Scout? - wyszeptała.

- Nie, Liz. Wszystko z nią w porządku. Z Archiem też. Ale pani Preston leży w szpitalu. Problemy z sercem. Wspomniałaś, że się o nią martwisz, więc kazałem jej obiecać, że pójdzie na badania.

Ręka Liz opadła.

- Och! - odetchnęła z głęboką ulgą podszytą troską.

- To nie wszystko. Daisy zachorowała na grypę.

- O, nie! Zatem kto...?

- Dowodzenie objęła twoja matka, z pomocą żony Boba, jednak, moim zdaniem, powinniśmy niezwłocznie wracać.

- Oczywiście. - Rozejrzała się trochę bezradnie. - Jak prędko damy radę wyruszyć?

Cam już rozmawiał przez komórkę.

- Roger organizuje lot z Hamilton. Halo, Rob? - powiedział do telefonu. - Słuchaj, stary, muszę dostać się do domu tak szybko, jak to możliwe. Załatw, żeby helikopter zabrał nas z plaży Whitehaven. Sam przyleć razem z pilotem, a z powrotem pozeglujesz na Leilani". - Dobrze - oznajmił, gdy skończył rozmowę przez telefon. - Podnosimy kotwicę. Za mniej więcej pół godziny dopłyniemy do Whitehaven.

- A co, jak nie będzie wolnych helikopterów?

Spojrzał na nią, jak gdyby chciał powiedzieć: Nie powiedziałaś tego, prawda?

- Wtedy jakiś kupię.

- No co ty. Chyba nie myślisz, że w to uwierzę?

- Niech pani wierzy lub nie, pani Montrose, ale już tak robiliśmy. - Rozejrzał się. - Spakuj, proszę, nas oboje, dobrze?

Rozpoznała tego Cama Hilliera, więc odwróciła się do niego plecami, mówiąc bardzo cicho:

- Oczywiście.

Nie zauważyła, jak się zawahał, jak wbił wzrok w jej plecy czy jak zacisnął usta w wąską linię, zanim wyszedł z kabiny.

Przez kilka minut nie ruszyła się z miejsca.

Zlizwała słoną łzę z górnej wargi. Coś poszło strasznie nie tak, a nie miała pojęcia, co. Pani Montrose pomyślała. Czy wrócili do stosunków służbowych. Dlaczego?

Skąd ten niemal szaleńczy pośpiech? Owszem, gdy podjął jakąś decyzję, często realizował ją z prędkością stu kilometrów na godzinę. Ona też chciała wrócić jak najszybciej - ale w taki sposób?

Czyż nie będą już więcej sami? A co z ich gwałtownym aktem miłosnym? Gdzie on się mieścił?

Ukryła twarz w dłoniach.

Do Yewarry dotarli po zmroku, tego samego dnia.

Dzieci już spały, lecz Mary Montrose czekała, by ich przywitać. Zapewniła, że Daisi wygodnie odpoczywa, pani Preston również, choć wciąż przebywa w szpitalu.

- Bardzo dziękuję, że przejęła pani obowiązki, pani Montrose - zwrócił się do niej Cam. Oczarowana matka zarumieniła się. - Mam nadzieję, że wprowadziła się pani do rezydencji?

- Tak - odparła. - Razem ze Scout zamieszkałyśmy w skrzydle dziecięcym. Rozumiem, że też się tam zatrzymasz? - spytała córkę.

- Właściwie - zaczął Cam - Liz i ja mamy dla pani nowinę. Postanowiliśmy się pobrać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Co ci strzeliło do głowy?

Zamknęli się w gabinecie. Była wietrzna noc. Słyszała, jak na zewnątrz wiatr targa gałęzie drzew i rozlegają się sporadyczne odległe grzmoty.

Liz siedziała z nieufnym wyraz twarzy, a w jej sercu szalała burza. Na wieść o ślubie matka okazała przesadny entuzjazmem, który przeszedł w pełną niepokoju ciszę po tym, jak w końcu pojęła wyraz twarzy córki.

Wtedy oznajmiła:

- Zostawiam was samych. - I odeszła w kierunku dziecięcego pokoju.

- Tak właśnie powiedziałaś - odbił piłeczkę, sadowiąc się wygodnie za biurkiem. - „Nie przyjmuj ode mnie tych nonsensownych wymówek” - zacytował. - „Czasami upieram się bez konkretnego powodu” Pamiętasz, Liz? - Uniósł brew i upił brandy, którą nalał im wcześniej.

Pomimo alkoholu Liz nie mogła przestać myśleć, że powrót do gabinetu, gdzie została posadzona po przeciwnej stronie biurka, sprowadzał ich związek powrotem do relacji pracodawca - pracownik. Okropnie ją to bolało.

- Mojej pamięci nic nie dolega - odparła bezsilnie i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Przypominam sobie również, że kilka godzin wcześniej kochaliśmy się, jak gdybyśmy nigdy nie mieli się sobą nasycić, po czym niespodziewanie odsunąłeś mnie od siebie. Ostatnią rzeczą, jakiej się po tobie spodziewałam, była nowina o ślubie.

- Ale zamierzasz za mnie wyjść, prawda, Liz? Ze względu na Scout.

Zbladła.

- Przecież o tym wiedziałeś - wyszeptała. - Sam zakomunikowałeś mi, że potrzebujesz matki dla Archiego, a ja potrzebuję zabezpieczenia dla Scout.

Wstał gwałtownie i ze szklanką w dłoni podszedł do obrazów wiszących na ścianie.

- Nie przypuszczałem, że będę się tak czuł.

Stał, kontemplując pejzaż morski z trawlerem. Jedną rękę wsadził do kieszeni, a każda linia jego ciała odzwierciedlała napięcie. Nawet twarz znaczyły mu bruzdy, których wcześniej tam nie widziała.

- Jak? - spytała głosem nabrzmiałym od emocji.

W końcu odwrócił się do niej.

- Jak gdybym dostał to, na co zasłużyłem. Po tym, jak sobie używałem - bezwiednie wygiął usta w grymasie - jak prowadziłem rajskie życie, jeżeli chodzi o kobiety i cieszenie się ich wdziękami bez żadnych zobowiązań, w końcu straciłem głowę dla tej jednej, której nie mogę mieć.

- N-nie możesz mieć? - wyjąkała.

Rzucił jej przelotny uśmiech.

- Znowu to robisz, Liz. Powtarzasz za mną.

- Tylko dlatego, że nie wierzę, że to powiedziałeś. Czego... czego ty w ogóle chcesz? - Na jej rzęsach zawisły łzy konsternacji i rozpacz.

Wrócił do biurka i usiadł naprzeciw mniej.

- Sądziłem, że wystarczy, że będziesz ze mną, nieważne, na jakich warunkach. Z tego powodu skusiłem cię pracą tu, w Yewarze. Z tego powodu... - machnął ręką - grałem na twoim braku pewności co do losów Scout i odkryłem, że gdy zgodziłaś się mnie poślubić, miałaś na względzie córkę, a nie mnie. Nie o tym marzyłem.

Wciągnęła głośno powietrze, a jej myśli powędrowały do pierwszego razu, kiedy się kochali, do ich pierwszej nocy na łodzi i koszmaru sennego. Przypomniała sobie jego początkową niechęć, której, nierozsądnie, nie poświęciła dość uwagi.

- Nie powinieneś być tego przede mną ukrywać.

- Powiedziałem ci, że nie jestem ze stali - odparł sucho.

- Nie potrafiłem przyznać, jaki ze mnie głupiec, niewiarygodny głupiec, bo nie zauważyłem, co mi się przytrafiło.

- A dzisiaj rano? - szepnęła.

- Dzisiaj rano? - powtórzył. - Dzisiaj rano tak naprawdę pragnąłem usłyszeć, jak mówisz, w przekonujący sposób, że kochasz mnie do szaleństwa.

- Nie rozumiem jednego: dlaczego wspomniałeś mojej matce o ślubie.

- Chyba diabeł mnie podkusił. Ale dam ci swoje nazwisko, jeśli ma to ochronić Scout przed jej ojcem. Będzie to małżeństwo z rozsądku.

- Myślisz, że tego chcę? - wyszeptała, blada jak papier.

- A nie? - Uniósł brew.

Zadrżały jej wargi. Każdą komórką swojej istoty pragnęła zaprzeczyć temu oskarżeniu. Dlaczego nie umie sprostować: Nie, nie tego chcę? Dlaczego nie umie wyznać, że zakochała się w nim głęboko i nieodwołalnie?

Bo brakowało jej dowodu? Bo, patrząc wstecz, widziała, że sprawy ułożyły się w sposób sugerujący, że motywem małżeństwa byłaby Scout?

Bo wciąż nie potrafiła obnażyć duszy przed jakimkolwiek mężczyzną?

- Nie, nie tego chcę - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Cam. To koniec. Wyjedziemy zaraz z samego rana. Nie... nie udałoby nam się. Zbyt wiele nas dzieli. - Potrząsnęła głową, po jej policzkach spłynęły dwie łzy. - Kiedyś ostrzegłam cię, że musiałbyś oszaleć, żeby się ze mną związać. Miałam rację. Nie myśl, że obwiniam cię za to... za mętlik, jaki... jaki panuje w mojej głowie. Proszę - błagała - po prostu pozwól mi odejść.

- Liz... - powiedział surowo, lecz ona wybiegła z gabinetu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Gdzie jest Archie? - zapytała Scout płaczliwym tonem. - I gdzie szczeniaczek Nonahy? Dlaczego nie wolno mi się już z nimi bawić? - Z niezadowoleniem rozejrzała się po mieszkaniu babci. - Nie podoba mi się tu.

Liz westchnęła w duchu.

Od momentu opuszczenia Yewarry, co okazało się niezmiernie bolesnym krokiem, minęły trzy tygodnie.

Przez ten czas straciła na wadze, mało sypiała i wciąż na nowo toczyła ze sobą boje. Czy odeszła od mężczyzny, który ją kochał bez większego powodu? Z drugiej strony, czy kiedykolwiek by jej zaufał?

Dopiero tydzień temu doszła do siebie na tyle, żeby zacząć szukać innego zajęcia.

Skontaktowała się z agencją, gdzie wcześniej pracowała, i ponownie zaczęła figurować na ich liście pracowników. Do tej pory nic się nie pokazało, ale odzyskała swoją weekendową pracę w restauracji. Następną pozycję na liście stanowiło własne mieszkanie.

Niedługo po tym, jak Scout wyraziła niezadowolenie z nowego życia, zadzwonił telefon. Agencja zawiadamiała, że znaleźli dla niej ofertę dwutygodniowego zatrudnienia na stanowisku osobistej sekretarki. Miałyby zacząć następnego dnia.

Po konsultacji z matką Liz zgodziła się, chociaż ze strachem wracała do znanego kieratu. Rankiem następnego dnia pojawiła się w pomieszczeniach biurowych w siedzibie Wakefield Incorporation - przedsiębiorstwie zajmującym się transportem morskim.

Powiedziano jej, że zastępuje osobistą asystentkę prezesa, która upadła i złamała nogę. Nic więcej nie wiedziała.

Jak zwykle, do pracy ubrała się starannie w nową garsonkę z ładną bluzką. Spięła włosy i założyła okulary.

Gdy tylko wyszła z windy, została przywitana przez recepcjonistkę o imieniu Gwendolyn, jak głosił jej identyfikator i gdy wytłumaczyła, kim jest, natychmiast zaprowadzono ją do biura prezesa.

- Zapraszam do środka - powiedziała radośnie. - Chciał cię od razu widzieć.

Wzięła głęboki oddech, lecz zawahała się. Z miejsca, gdzie stała, dostrzegła część gabinetu, ale nie biurko. Wzięła następny głęboki oddech, przeszła przez drzwi i omal nie zemdląła z najzwyczajszego szoku.

Bo za biurkiem należącym do prezesa Wakefield Incorporation, firmy, o której nie słyszała aż do wczoraj, siedział Cam Hillier.

Stała jak wryta.

Wstał i obszedł biurko, podchodząc do niej.

- Liz - zaczął cicho. - Wejdz.

- T-ty? - wykrztusiła. - Nie rozumiem.

- Kupiłem tę firmę, gdy mieszkałaś w Yewarze. Pamiętasz?

Zbladła, a jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Poruszała bezdźwięcznie ustami. Jak zwykle dynamiczny i atrakcyjny, miał na sobie znany jej elegancki garnitur. Poza tym również wyglądał blado.

- Nie... nie rozumiem - powtórzyła. - Mam zastępować kogoś, kto złamał nogę.

- Zmyśliłem to. Poprosiłem również o ciebie osobiście.

- Ty... ściągnąłeś mnie tu celowo? Po co? - zapytała.

- Bo nie umiem bez ciebie żyć. Rozpaczliwie cię potrzebuję, Liz. - Zachwiała się, więc chwycił ją za ramię, żeby podtrzymać. - Archie nie potrafi bez ciebie żyć. Żaden z nas nie potrafi. Będziemy wdzięczni za cokolwiek, co możesz nam dać, ale wróć ze mną do domu.

- Cokolwiek? - szepnęła.

Czy to z powodu szoku, że zobaczyła go znowu, choć się tego więcej nie spodziewała, czy ponieważ ją odszukał, stało się tak, jakby niewidzialna dłoń przekręciła klucz w jej sercu i wszystko, co pragnęła powiedzieć, lecz nie była w stanie, zaczęło wylewać się z jej duszy...

- Nie pojmujesz? Nigdy nie przespałabym się z tobą, gdybym cię nie kochała. Taka już jestem. Wiem... wiem, że wyglądało to, jakby chodziło o Scout, ale to nieprawda. Chodziło o ciebie. Zawsze chodziło o ciebie.

Łzy płynęły jej po policzkach i cała się trzęsła.

- Liz. - Otoczył ją ramionami i pomimo łez zobaczyła, że wstrząsnęły nim jej słowa. - Liz, kochanie...

- Nie wiem, czemu ci tego wcześniej nie zdradziłam. - Płakała. - Chciałam, ale... - Emocje ścisnęły jej gardło.

- Rozumiem. Zawsze rozumiałem - odparł z czułością. - Po prostu za bardzo na ciebie naciskałem.

- Dziwię się, że mnie nie nienawidzisz - wyznała zrozpaczona.

- To powinno przekonać cię bardziej niż jakiegokolwiek słowa - mruknął, zdejmując jej okulary.

Zaczął ją całować, całować skąpane we łzach policzki, brwi i usta.

Kiedy się w końcu rozdzielili, Liz z trudem łapała oddech, ale przestała płakać i popatrzyła na niego w zachwycie.

- Czy... czy to się dzieje naprawdę? - zapytała niepewnie.

- Naprawdę cię kocham - oświadczył. - Nigdy wcześniej się tak nie czułem. Jak gdybym w końcu grał właściwą melodię. Jak gdyby reszta świata mogła iść do diabła na tak długo, jak długo jesteś ze mną. Palcem wskazującym obrysował usta.

- Nigdy ci tego nie powiedziałem, nigdy nikomu tego nie powiedziałem, lecz moi rodzice byli pokrewnymi duszami, a ja przez długi czas szukałem swojej połówki. Sądziłem, że to się już nie wydarzy. Aż spotkałem ciebie.

Liz poruszyła się w jego ramionach.

- Nie miałam pojęcia.

- Pamiętasz, jak zagroziłaś, że mnie pobijesz? - spytał z kpiąco uniesioną brwią.

- Nieprawda! Chociaż... - potrząsnęła głową - skoro tak mówisz.

- Wtedy właśnie usłyszałem dzwonek ostrzegawczy. A po tym, jak wspiełaś się na mój mur, podejrzewałem, że jest w tobie coś wyjątkowego.

- Ale...

- Nie pytaj dlaczego. Tak się po prostu stało. Do czasu, jak ściągnąłem cię do Yewarry, słyszałem znacznie więcej niż dzwonek alarmowy. Czułem rosnące przekonanie, że ty i tylko ty jesteś tą jedyną. Musiałem jedynie sprawić, żebyś to dostrzegła.

Zamknęła oczy i złożyła głowę na jego ramieniu.

- Przepraszam.

Pocałował ją lekko, po czym wziął za rękę i pociągnął w stronę pikowanej kanapy, gdzie usiedli objęci.

- Nie przepraszaj - powiedział. - Zamiast tego wyjdź za mnie.

- Niczego bardziej nie pragnę, ale... - Gwałtownie wyprostowała się i popatrzyła z cieniem troski. - Zdaję sobie sprawę, że czasami trudno ze mną wytrzymać...

- Ja również zdaję sobie z tego sprawę - przerwał. - Wygarniasz prosto z mostu, na przykład. Czasami się wściekasz. Jednak skoro taki ze mnie wzór cierpliwości, człowiek opanowany, tolerancyjny, przewidywalny i tak dalej, powinniśmy się świetnie uzupełniać.

- Cierpliwy? Tolerancyjny? Przewidywalny? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem, a po chwili wybuchnęła śmiechem. - Przez chwilę sądziłam, że mówisz poważnie. Och, Cam, bywasz całkowicie nieprzewidywalny, nietolerancyjny i niecierpliwy, ale i tak uważam cię za mojego bohatera i bardzo cię kocham!

Trzymał ją, jak gdyby już nigdy nie miał jej puścić. W końcu jednak rozdzielili się.

- Musimy stąd wyjść - oznajmił Cam, biorąc ją za rękę i prowadząc do drzwi.

Tam jeszcze raz zademonstrował, jaki potrafi być nieprzewidywalny.

Przywołał windę, po czym zwrócił się do Gwendolyn:

- Gwen, chciałbym przedstawić ci moją przyszłą żonę, Liz. Och, a tak przy okazji, wyjeżdżam na parę tygodni, może nawet miesięcy. Jeśli sytuacja będzie tego wymagać, skontaktuj się z Rogerem Woodwardem w Hilliers, a on ze wszystkim sobie poradzi.

Zapadła głucha cisza, a potem Gwen poderwała się zza biurka i popędziła w ich stronę, żeby im pogratulować.

- Biedny Roger - powiedziała Liz, zjeżdżając na parking.

Cam spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Wkrótce prawdopodobnie zaczniesz sobie rwać włosy z głowy. Znam to uczucie - wyjaśniła.

Pobrali się na plażę Whitehaven kilka tygodni później.

W trakcie zachodu słońca zostali ogłoszeni mężem i żoną. Wtedy popatrzyli sobie w oczy, a między gośćmi zapanowała cisza. Dla wszystkich stało się jasne, że w tym momencie dla Cama i Liz istnieją tylko oni dwoje. Za nimi niebo i woda przechodziły w płynne złoto.

Potem czar przysł. Trzeba było przewieźć wszystkich na „Leilani”, gdzie czekała ich uczta.

Kilka godzin później nowożeńcy zegnali gości wracających na Hamilton drugą łodzią, wszystkich oprócz dwóch osób. Archie i Scout, którzy już spali, pozostaną z nimi na czas rejsu w okolicy wysp Whitsundays przez następną parę tygodni.

- No i - Cam objął pannę młodą ramieniem - wszystko poszło dobrze. Nawet odpowiedzialny za organizację Roger zdołał się dobrze bawić.

Liz wybuchnęła śmiechem.

Rok później, po sporym deszczu, dzięki któremu w ogrodach zakwitły wszystkie późnoletnie kwiaty, Yewarra wyglądała tak dobrze jak nigdy.

Liz wędrowała między rabatkami pełnymi róż, wdychając ich subtelną woń. Oparta o pień drzewa śniła na jawie. Tak znalazł ją Cam.

- Wróciłeś - ucieszyła się i uniosła twarz do pocałunku.

- Wyglądasz tak dobrze, że miałbym ochotę cię schrupać - wymruczał. - Nie tylko wróciłem. Wróciłem do domu. - Pocałował ją mocno, a po chwili objęli się i zaczęli spacerować po ogrodach. - Tęskniłaś?

Kiwnęła głową, ale na myśl o zmianach, jakie w nim zaszły, uśmiechnęła się. Ograniczył ilość pracy, a co musiał zrobić, robił głównie w domu, więc rzadko ją opuszczał.

Wyglądał na o wiele bardziej zrelaksowanego i potrafił cieszyć się swoim nowym życiem. Wciąż potrzebował od czasu do czasu różnych wyzwań, jednak gorączkowe tempo poprzedniego życia należało do przeszłości.

Jeśli chodzi o nią, nie mogła czuć się bardziej szczęśliwa...

- Czemu wyglądasz, no nie wiem, tak tajemniczo?

- Ach - szepnęła - więc zauważyłeś?

- Dostrzegam wszystko, co ciebie dotyczy, Liz Hillier. Zawsze tak było. Czekaj, niech no zgadnę. - Przebiegł wzrokiem po jej sylwetce. - Chodzi o dziecko, prawda?

- Chodzi o dziecko - zgodziła się z powagą.

Przystanął.

- I jak się z tym czujesz? - spytał z wahaniem.

- Jestem w siódmym niebie. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - Powiedzieć ci dla-
czego?

- Oczywiście...

- Dawniej martwiłam się, że nigdy nie udowodnię, jak bardzo cię kocham. Mogłam tylko powtarzać te słowa. Teraz mam dowód. Pragnę twojego dziecka z całego serca.

- Och, Liz - wykrztusił jedynie, ale w jego oczach widziała miłość i zrozumiała, że naprawdę jej uwierzył.

Zabrakło mu tchu, gdy zobaczył jej radość.

- Chodź - powiedział i wiedziała dokładnie, co miał na myśli.

Odwrócili się i poszli przez ogrody w kierunku domu, ręka w rękę.

